

Guy Burt

Bunkier

Przełożyła z angielskiego Joanna Walczak

Tytuł oryginału *After the Hole*



Dla I. M. B. oraz R. A. L.

Drogi Eliocie,
pomyślałam, że to może cię zainteresować.
Gdybyś chciał coś dodać lub omówić, będę w Londynie od czternastego.
Do zobaczenia już wkrótce.

Twoja P. H.

ROZDZIAŁ 1

Wiosenny semestr w Naszej Wspaniałej Szkole, jeszcze przed wydarzeniami w Bunkrze, upłynął nam lekko i przyjemnie. Byliśmy pełni świeżej wiary we własne siły, która często rodzi się w człowieku u progu dorosłości, w głowach zaś buzowało nam od planów na przyszłość.

Ta historia rozpoczęła się wszakże trochę później i chyba do dziś nie można jej uznać za zamkniętą. Ja przynajmniej tego uczucia nie doświadczyłam. Mam nadzieję, że jeśli opowiem o tym, co zaszło, zdołam ją nieco od siebie oddalić, a może nawet wyrzucić z pamięci choć część tamtych wydarzeń.

W bezchmurny, zaskakująco ciepły jak na tę porę roku dzień sześć postaci przecięło skapaną w słońcu kamienną posadzkę dziedzińca szkolnego, kierując się do bocznego wejścia budynku mieszczącego pracownię literatury angielskiej. Tam właśnie, ukryte w cieniu przypory, wiły się w dół zardzewiałe żelazne schody. Jedna po drugiej postacie pokonały strome stopnie, znikając w trójkątnym cieniu. Minęło wiele godzin, słońce wędrowało po niebie i przenikając promieniami okna coraz to innych klas, oświetliło przelotnie kilka sfatygowanych skórzanych teczek i niechlujnie spiętrzone stosy kartek. Zapomniane pozostałości minionego semestru rozgrzały się na chwilę, ale pierzasta chmura, która nadciągnęła ze wschodu, na powrót pogrzyżyła wnętrza sal w cieniu. U szczytu żelaznych schodów wyrosła nagle samotna postać i zatrzymawszy się na moment, powiodła wzrokiem po opustoszałych alejkach i boiskach do krykieta. Z rękami w kieszeniach schludnych szarych spodni chłopak ruszył w kierunku okalającego budynek lasu, skapanego w wiosennej zieloności. Jego jasne włosy poddawały się łagodnie wzmagającemu się wiatrowi.

I chociaż wtedy jeszcze nic na to nie wskazywało, ta oddalająca się postać okazała się w pewnym sensie mordercą.

– Tak naprawdę nikomu by to nawet nie przeszkadzało – powiedziała Alex i zabierając pokaźnych rozmiarów sfatygowany plecak, ruszyła w kierunku małej toalety położonej za

rogiem. Tuż obok było jeszcze jedno niewielkie pomieszczenie, ongiś służące najprawdopodobniej za składzik. Mike nie miał pojęcia, kiedy go ostatnio używano; powietrze było tam chłodne i suche, a kurz, który wniknął w szczeliny kamiennej posadzki, zestalił się w twardą skorupę.

Mike złożył na pół śpiwór i jak poduszkę podłożył sobie pod plecy. W ostrym świetle nagiej żarówki ta piwnica, którą między sobą nazywali Bunkrem, wydawała się pusta i surowa jak źle wyregulowany obraz w telewizorze. Frankie szukała czegoś w swoich torbach, bez ładu i składu wyjmowała i na powrót upychała ubrania i przeróżne klamoty. Zza ściany dobiegł ich odgłos spływającej ciurkiem wody, a chwilę później syczący pomruk ogromnej szarej cysterny. Wreszcie Frankie triumfalnie uniosła w górę sześcioboczne tekturowe pudełko.

– Czy ktoś ma ochotę? – spytała uszczęśliwiona. Reszta towarzystwa spojrzała w jej stronę.

– Co tam masz? – odezwał się podejrzliwie Geoff.

– Galaretki owocowe – oznajmiła Frankie. – Pychota. Wzięłam dwa pudełka, tak na wszelki wypadek.

– Nie, dzięki – odparł Mike, któremu naraz przez głowę przemknęło pytanie, na wypadek czego Frankie zabrała drugie pudełko.

– Bez obrazu, ale ja też się nie skuszę – dołączył Geoff. – To smakuje jak... no, jak...

– Ta jest o smaku różanym – odpowiedziała mu Frankie.

– Bzdura, smakuje całkiem jak...

Wróciła Alex, strzepując energicznie dłonie.

– A niech cię! – wykrzyknęła Frankie, a nad pudełkiem, które trzymała, uniósł się obłoczek cukru pudru – opryskałaś mnie całą!

– Czy ktoś wpadł na to, żeby zabrać ręcznik? – zapytała Alex. Mike potrząsnął przecząco głową. Nawet mu to przez myśl nie przeszło.

– Ja mam ręcznik – odezwała się Liz, sięgając do plecaka. To by się zgadzało, stwierdził w duchu Mike. Trudno się spodziewać, że ktoś taki jak Frankie będzie pamiętał o ręcznikach. Liz to co innego. Nie był pewny, dlaczego myśli o niej w ten sposób, jednak wydało mu się to zupełnie naturalne.

– Dzięki – powiedziała Alex. – Ta woda jest dla mnie za zimna.

– Która godzina? – zainteresowała się Frankie.

– Dziewiąta. A czemu pytasz? – zirytował się Geoff. – Wciąż mnie wypytujesz o tę cholerną godzinę.

– Jestem wykończona. No i zapomniałam zegarka – odparowała Frankie.

– A co cię niby tak zmęczyło? – zdziwiła się Alex. – Od czwartej nic nie robimy, tylko siedzimy na tyłkach i gadamy.

– Mów za siebie – zaproponował Mike. – Ja przyłączyłem się do takiej jednej wprost fascynującej wycieczki, by podziwiać urzekające formy skalne, a potem przez godzinę z hakiem maszerowałem dzielnie przez wrzosowiska.

Cała szóstka parsknęła śmiechem.

– Dokładnie takim rozrywkom oddają się pewnie Morris i ferajna – stwierdził Geoff.

– Dzięki Bogu, żeśmy się wykręcili – wzdrygnęła się Alex. – Ostatnio to był istny koszmar. Calutki tydzień chodziłam przemoknięta do suchej nitki, bo lało tak, że prawie nic nie widziałam. A poza tym – ciągnęła, odgarnąwszy włosy z czoła – nie znoszę gór. Żaden ze mnie alpinista, jestem raczej zwierzęciem domowym.

– Chwała Martynowi – skwitowała Alex.

– No – przytaknął Mike. – Wymyśliłem nowe przysłowie: z deszczu na wycieczce pod zepsuty prysznic w Bunkrze.

– A mnie się tu nawet podoba... – Alex rozejrzała się dokoła. – Wygodnie może nie jest, przestrzeni też jakby niewiele, ale mam wrażenie, że przy odrobinie wysiłku mogłoby się zrobić całkiem przytulnie. No wiecie, wystarczyłyby jakieś kotary, parę gustownych dywanów.

– Zabawne – orzekła Frankie. – Naprawdę bardzo zabawne.

„A nasi koledzy zaliczyli już pewnie parę szczytów”, błędził myślami Mike. Brał udział w poprzednich wyprawach i w sumie dobrze się bawił. Oczywiście szansa włączenia się w jedną z intryg Martyna była warta każdej ofiary. Dlatego właśnie – stwierdził kwaśno Mike – tkwił w piwnicy pod budynkiem mieszczącym pracownię angielskiego, zamiast rozkoszować się urokami Peak District. Wkoło reszta grupy rozkładała swoje bambetle na podłodze. Geoff wyciągnął się tuż obok. Wsparty na łokciu w pozycji półleżącej, machnął ręką ponad swoim plecakiem i niechlujną stertą ubrań i puszek zjedzeniem, omiatając wzrokiem całe pomieszczenie.

– Ciagle nie kapuję, jak to możliwe, że nikt tej piwnicy dotąd nie wykorzystywał – dziwił się. – Byłaby z niej kapitalna świetlica albo sala prób czy coś w tym stylu.

– Połowa Naszej Wspaniałej Szkoły stoi nie wykorzystana – prychnęła Frankie. – Mój stary mówi, że temu interesowi cholernie by się przydała wymiana zarządu.

– W takim razie twój papcio może liczyć na pełne poparcie ciała uczniowskiego – oznajmił Geoff.

– Frankie ma rację – włączyła się Alex. – W całej szkole można się natknąć na takie miejsca. Kojarzycie na przykład te sale za wydziałem fizyki? Po co one komu? Pies z kulawą nogą tam nie zagląda.

– Tam akurat mieści się kolekcja motyli – nieoczekiwanie wtrąciła Liz. Ilekroć się odzywała, Mike czuł, jak wzbiera w nim zdziwienie. – Zwiedzana raz na jakieś pięć lat.

– Chyba żartujesz! – Geoff spojrzał zdumiony na Liz. – Motyle?

– No i co tak wytrzeszczasz gały? – Frankie wydeła usta. – Niema w tym nic dziwnego. Założę się, że to jakiś podarunek czy coś w tym stylu. Ludzie praktycznie zasypują nas darami.

– Chyba darowiznami – poprawił ją Mike.

– Wszystko jedno.

– Niniejszym daruję Naszej Wspaniałej Szkole moją kolekcję kompromitujących zdjęć ciała pedagogicznego, z przeznaczeniem na stałe ekspozycje we wszystkich stołówkach – błaznował Mike.

– Umieram z głodu – oznajmiła Alex, po czym zdjęła okulary w drucianych oprawkach i zaczęła polerować okrągłe szkła chusteczką do nosa. – Co byście powiedzieli na wcześniejszą kolację?

– Sprawdźmy, co by tu można przekąsić – zareagowała natychmiast Frankie.

– Drogie panie, tylko spokojnie. – Mike rozciągnął usta w parodii uśmiechu. – Nie wszystkie naraz.

– Daruj sobie ten protekcyjny ton – zjeżyła się Frankie. – Tu jest napisane „Francuskie tosty”. W sam raz dla mnie.

– Francuskie tosty? – zainteresował się Geoff. – To brzmi dość perwersyjnie. *Bonjour, madame*, czy pani sobie życzy tościka po francusku?

Mike osunął się niżej i przymknął oczy, broniąc się przed oślepiającym światłem żarówki.

– Myślałem, że z tostów po francusku zlizuje się maselko.

Alex zachichotała, po czym równie szybko umilkła z dość niepewną miną.

– To obrzydliwe, Mikey – skrzywiła się Frankie.

– Dużo gorsze jest to twoje owocowe badziewie – wtrącił Geoff. – Ma taki cholernie różowy smak.

Tak się wszystko zaczęło. Nie zapominajcie, że byliśmy wtedy bardzo młodzi.

Jeszcze dziś dźwięczy mi w uszach to, co Martyn powiedział, zanim zeszedliśmy do Bunkra: „To jest eksperyment z rzeczywistością”. Takich właśnie użył słów.

– Chyba za dużo powiedziane – rzekłam z powątpiewaniem, ale on uśmiechnął się tylko.

Uśmiech Martyna był szeroki i niewymuszony, rozpromieniał jego bladą puciołowatą twarz. Nauczyciele wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać. Miał opinię rozważnego, raczej powolnego chłopca, któremu śmiało można powierzyć odpowiedzialne zadanie. Zawsze przyjazny, zawsze chętny, by pogawędzić z pocziwym panem Stevensem o wędkowaniu albo pochwalić ogródek doktora Jamesa. Dobry, rozsądny chłopiec. „W rzeczy samej, ten chłopak świetnie kieruje biblioteką”, powiedział o nim kiedyś Stanford, co – jak sądzę – wywołało zdziwienie zarówno nauczycieli, jak i uczniów, którzy wiedzieli, że Stanford nigdy nie był skory do prawienia komplementów.

My też wiedzieliśmy, czego się można po Martynie spodziewać, i podziwialiśmy tę doskonałą iluzję, jaką udało mu się stworzyć. Dla nas nie było tajemnicą, że to Martyn stał za incydentem z Gibbonem, że to on – prawdopodobnie największy buntownik w historii Naszej Wspaniałej Szkoły – tak wszystko zaaranżował, że przemówienie na koniec semestru okazało się klęską absolutną. W naszych oczach podwójne życie, jakie prowadził Martyn, było godne podziwu i zazdrości. Niewykluczone, że gdybyśmy wtedy zastanowili się nad tym nieco głębiej, przewidzielibyśmy dalszy rozwój wypadków. Nikomu nie przyszło jednak na myśl, że dwulicowość Martyna to zaledwie czubek góry lodowej.

Czyż to nie zadziwiające, jak czas odmienia nasze otoczenie i jak my sami zmieniamy się wraz z jego upływem?

To smutne, ale w szkołach kwitnie wymiana wiadomości i handel wiedzą, a nie mądrością. Wtedy zaś potrzebowaliśmy właśnie mądrości. Niestety, tego nam zabrakło. Nie byliśmy gotowi.

– Chyba za dużo powiedziane – rzekłam z powątpiewaniem. W odpowiedzi usłyszałam dojrzały głos, zdecydowanie zbyt dojrzały jak na tę puciołowatą, uśmiechniętą twarz o bladoniebieskich oczach.

– Och, nie wydaje mi się – odrzekł Martyn.

– Mój wuj to chyba lubi – oznajmiła Frankie, wlepiając wzrok w swojego drinka. – Jest bardzo znany, choć dziwny z niego gość.

– Znany? Niby z czego? – zainteresowała się Alex, zmieniając pozycję na wymoszczonym niby gniazdo śpiworze.

– Ze swoich dziwactw – zachichotała Frankie. – Geoff, nalej mi jeszcze – wyciągnęła w jego stronę kubek, a Geoff odkorkował butelkę i nalał jej kolejną porcję whisky. – Nie ściemniam, słowo. Wujaszek chałturzy dla telewizji.

– Coś ci się przykleiło do zębów – zauważył Geoff.

Frankie otworzyła szeroko usta i przejechała po zębach mankietem koszuli.

– Co za ohyda – westchnął beznamiętnie Mike. – Szkoda, że Martyn nie znalazł mi jakichś bardziej cywilizowanych kompanów.

– Teraz mam w ustach pełno kłaczków – poskarżyła się Frankie.

Właściwie tylko oni troje rozmawiali. Alex przewróciła się z powrotem na plecy i miętosząc palcami fałd koszuli, gapiła się w sufit, a Liz siedziała z nosem w kajecie, żując końcówkę czarnego pisaka. Mike zauważył, że pomiędzy włosami przeziera czubek jej ucha, którego bladość kontrastuje z ich ciemną barwą. Liz raz po raz odgarniała włosy z czoła i Mike zastanawiał się, czy pomyślała kiedykolwiek, żeby je spać.

Jeszcze na nią patrzył, gdy podniosła wzrok i rzuciwszy mu przelotne spojrzenie, wróciła do zapisków.

Tego pierwszego wieczora, kiedy wszyscy byli jeszcze sobą, na Bunkier zstąpił przyjemny spokój. Geoff i Frankie puścili w obieg butelkę whisky, Mike pociągnął kilka ryków. Rozmawiali o minionym semestrze, o planach na przyszłość, naśmiewali się z wyimaginowanych wyczynów na szkolnej wycieczce i niewygód, jakie musieliby znieść.

– Kiedy macie zamiar uderzyć w kimono? – spytała Alex. – Już prawie północ, a ja jestem ledwie żywa.

– Dopiero dwudziesta trzecia pięćdziesiąt. Czy państwo wiedzą, gdzie przebywają wasze dzieci? – zażartowała Liz.

– Daj spokój, Alex, dopiero się rozkręcamy – powiedziała Frankie, krzyżując nogi. – Dlaczego nikt nie przyniósł magnetofonu?

– Bo nie chcieliśmy się katować muzą w twoim guście – wyjaśnił Geoff.

– Obawiam się, że nie wiem, gdzie są moje dzieci – podchwycił Mike, opierając się wygodnie o plecak. – Kiedy je ostatnio widziałem, szły w kierunku zapyziałej szkoły w towarzystwie jakiegoś jasnowłosego chłopca. Od tamtej pory ani widu, ani słyhu.

– Nie sądzi pan chyba, że ten chłopiec zamknął je w piwnicy, a sam zabrał się i poszedł? – Na twarzy Geoffa pojawiło się udawane przerażenie.

– Tak w rzeczy samej mogło się stać – odrzekł Mike, kiwając poważnie głową.

– Jak stąd wyjdziemy, wszyscy się pewnie dowiedzą, że nie byliśmy na wycieczce – zauważyła Frankie.

– Niekoniecznie – westchnął Geoff. – Bo i jakim cudem? W szkole myślą, że jesteśmy w domu, a starzy są pewni, że na wycieczce. Nie będziemy przecież tego odkręcać.

– No tak, racja – zgodziła się Frankie.

– Chyba zapomniałaś, żeśmy to już przerabiali – mruknął Geoff z nutą irytacji w głosie.

Mike oparł głowę o kieszeń bardziej wypchaną niż reszta plecaka i splótł dłonie na piersi.

– Jedno na pewno można powiedzieć o Naszej Wspaniałej Szkole: dzięki niej trzymamy się razem – rzekł w zamyśleniu.

– I oczywiście przejdziemy do legendy – podchwyciła Frankie. – Wszystko, co robi Martyn, jest legendarne – czknęła głośno. – Sorki, to perspektywa przejścia do historii tak mnie wzruszyła.

– Właśnie umyłem zęby – rzucił ni z tego ni z owego Mike – więc droga wolna, gdyby ktoś chciał skorzystać z toalety.

Odłożyłam na bok stos kartek, usiadłam wygodnie i rozprostowując nogi powiodłam wzrokiem po drzewach za oknem. Rozgrzane powietrze w pokoju poruszało się leniwie, a w promieniach słońca przecinających blat stołu i podłogę tańczyły drobinki kurzu. Z dołu dobiegł mnie głos matki i skrzyp otwieranych drzwi. Odsunęłam krzesło i uporządkowałam drobiazgi na biurku: słoiki po dżemie wypełnione ołówkami i piórami, książki, skrawki papieru i zapiski, starą butelkę atramentu, którego zapach przywodził na myśl aromat szkolnych ławek. Właśnie zamykałam okno w obawie przed chłodną wieczorną bryzą, kiedy na schodach zadudniły czyjeś kroki; zaraz potem otwarły się drzwi.

– Cześć – powiedziałam. – Wejdz.

– Więc to tu wszystko się odbywa – odezwał się.

– Będzie się odbywało – poprawiłam go. – Dopiero zaczęłam, a tyle jest do opowiedzenia.

– Mnie tego nie musisz przypominać. Nie wiedziałem, że widać stąd szkołę.

– Nigdy tu wcześniej nie byłeś – zauważyłam.

– Nigdy mnie nie zapraszałaś.

– Wiesz, jeszcze kilka tygodni temu to była istna nora. Musiałam wyrzucić kupę zakurzonych gratów, starych dywanów i stos innych rupieci. Potem trzeba było wtaszczyć na górę kanapę, regały, stół. Trochę to trwało.

– Jestem pod wrażeniem. Warto było?

– Czy ja wiem? – westchnęłam. – Chyba tak. Kiedy tu jestem, łatwiej mi się skupić nad tym, co było; widzę stąd szkołę i nic mnie nie rozprasza. Niemało już zrobiłam: mnóstwo notatek i takich tam...

– Bardzo cię kocham – powiedział prawie szeptem – i myślę, że jesteś cholernie odważna.

– No – zaśmiałam się nerwowo. – Ktoś to przecież musi zrobić.

– Co racja, to racja.

– Ja też cię kocham.

– Myślisz, że nie wiem? Marna ta nasza konwersacja, co, Liz?

– W takim razie o niej nie napiszę – obiecałam.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali, próbując przybrać wygodne pozycje na twardej piwnicznej posadzce. Kiedy Frankie robiła wieczorną toaletę w łazience, pozostałe dziewczyny przebrały się w pokoiku naprzeciw; w końcu zgasili światło, gotowi do pierwszej nocy w Bunkrze.

Mike leżał z otwartymi oczami i odtwarzał w pamięci wydarzenia minionego popołudnia i wieczoru, usilnie próbując spojrzeć na nie z punktu widzenia osoby z zewnątrz. Wyszedł z domu późnym popołudniem, by rzekomo zdążyć na autobus, którym podróżowała szkolna wycieczka. Kiedy zjawiła się reszta grupy, razem poszli na tyły budynku mieszczącego pracownię angielskiego. Metalowych schodów nikt od dawna nie używał, były przerdzewiałe do szczytu, a na samym dole wały się puszki po piwie, śmieci i zeschnięte liście ostrokrzewu, których od lat stamtąd nie wymiatano. Pogiete kawałki żelaznej poręczy sterczały żałośnie z kupy zmiętych paczek po papierosach i strzępów gnijących gazet. Skręcili ostrożnie w krótki korytarz, a blask marcowego słońca okrył na chwilę ciepłym płaszczem czającą się tuż-tuż ciemność. Zawahali się. Drzwi do Bunkra, drewniane, z poznaczoną ostrymi pęknięciami warstwą ciemnobrązowej farby, znajdowały się po prawej stronie. Skobel i kłódka były cynkowszare, matowe. Martyn wyciągnął klucz z kieszeni spodni, które – jak z rozbawieniem zauważył Mike – miał starannie wyprasowane. Zawsze dbał o tego typu szczegóły.

Kiedy otworzył drzwi, Mike'a nagle zastanowiło, kim był ten, kto ostatni przestąpił ich próg. Zaraz jednak zeszedli po drabince sznurowej, którą przyniósł Martyn, wewnątrz bowiem schodów od dawna nie było.

Gdy Mike tak leżał, wracając myślą do wydarzeń minionego dnia, przyszło mu do głowy, że Bunkier został nie tyle zapomniany, ile raczej nikt nie wiedział o jego istnieniu; zupełnie jakby zbudowano go specjalnie dla Martyna i jego kolegów. Mike uśmiechnął się w duchu, stwierdziwszy, że jego wiara w przeznaczenie – podobnie jak wiara w Boga – jest

raczej umiarkowana.

Poza biciem własnego serca dochodziły do niego miarowe oddechy pogrążonych we śnie kolegów. Przekręcił się na bok i z bezgwiezdnym firmamentem nad głową dołączył do pozostałej czwórki.

ROZDZIAŁ 2

Poranek pierwszego dnia wstał w zupełnych ciemnościach przy akompaniamencie przytłumionego terkotu budzika Geoffa. Przejście od łagodnego dla oczu mroku do ostrego światła żarówki było dość drastyczne.

– *When I'm feelin' blue* – wydzieriała się w toalecie Alex – mm mm mm.

Liz trzymała przed sobą patelnię i w otwory, które porobiła w podpieczonych kawałkach chleba, wbijała jajka. Bunkier wypełniał się powoli smakowitym aromatem.

– Kucharzy całkiem, całkiem – nie kryła podziwu Frankie. – Mnie ze wszystkiego wychodzi żałosny gniot.

– Zróbże coś z tymi włosami – jęknął Geoff. – Ja się nie piszę na śniadanko bogate w błonnik.

– Co?... Aha. – Liz wetknęła opadające kosmyki za kołnierz koszuli.

Mike nie wyczekiwał wprawdzie posiłku ze szczególnym utęsknieniem, lecz kiedy tylko zaczęli jeść, przekonał się, że jest głodny. Geoff wygrzebał skądś jabłko i przełamał je na pół.

– Pychota – zamruczał Mike. – A co na deser?

– Chodzący głodomór w ramach rekompensaty za niewolę pożre towarzyszy – błaznowała Alex. – Patrzcie tylko, znikają jeden po drugim, jak ludziki z piernika.

– Dzięki, Alex, to bardzo miłe.

– Zawsze do usług. Głowę dam, że odpłacisz mi pięknym za nadobne.

– Uważajcie, ludzie – wtrącił Geoff. – Nasza dama od rana pokazuje pazurki. Nie ma to jak Alex przed południem.

– Wiecie, czego mi trzeba? – odezwała się Alex, ignorując jego wygłupy.

– Kagańca? – spytał niewinnie Geoff.

– Bardzo zabawne. Wyobraź sobie, że krzesła. Oddałabym no, powiedzmy, niejedno, żeby tu mieć wygodne krzesło.

– Byłoby jak w domciu – zakpił Geoff. – Jakbym słyszał czyjąś mamusię.

– To czemu nie zabrałaś krzesła? – zaciekała się Liz.

– Nie przyszło mi to do głowy. Nigdy bym nie pomyślała, że zatęsknię za prozaicznym meblem. Bo przecież wstajesz z łóżka i przeważnie siadasz, zgadza się? A ja nie mam na czym usiąść i to mnie wkurza.

– Ja też jestem wkurzony – wtrącił tajemniczo Geoff – ale to nie ma nic wspólnego z krzesłami.

– Domyślam się, do czego pijesz, stary – kiwnął głową Mike. – A ja mam ochotę na kąpiel w staromodnej żeliwnej wannie na lwich łapach i z mosiężnymi kurkami. Ma być oczywiście wypełniona po brzegi gorącą wodą.

– Myślałam, że facetom się tego nie zaleca – zauważyła Alex.

Mike uśmiechnął się leniwie.

– Czego? Mycia?

– Właśnie.

– A to dobre!

Alex zmarszczyła nos.

– Trzy dni bez prysznic, fuj...

– Dobra kąpiel nie jest zła – przyznał się Geoff – ale spokojnie mogę się bez niej obejść.

– W to nie wątpię, tylko za jakie grzechy my to mamy znosić? – uśmiechnęła się Alex.

– Z tym będzie najtrudniej, nieraz pewnie zatęsknię za przyjemnościami, które miałam w domu... – zadumała się na chwilę. – Na przykład za wymytnym towarzystwem.

– Frankie dzisiaj siedzi jak mysz pod miotłą – zmienił temat Geoff.

– Frankie siedzi jak wykończona mysz pod miotłą – odparowała dziewczyna. – Frankie chętnie by jeszcze pospała, ale gdzie tam: Frankie musi robić, co jej każą, i jeszcze znosić gwałtowne, że się nie odzywa.

– Nie ma to jak miły domowy klimacik – podsumował Mike.

Liz odmaszerowała z brudną patelnią do toalety, gdzie zimna woda z samotnego kranu kapiała wprost do kratki ściekowej. Kiedy zaczęła płukać patelnię, doszedł ich wyraźny plusk rozbryzgującej się wody. Na podłodze głównego pomieszczenia posykiwała z cicha turystyczna butla gazowa z pojedynczym palnikiem. Frankie przyjrzała się jej podejrzliwie.

– Jeden mój znajomy trzymał coś takiego pod łóżkiem, aż kiedyś wybuchło – poinformowała kolegów. – Wywaliło wszystkie szyby z okien, a dom nadawał się do remontu.

– A on zginął? – ożywił się Geoff.

– Nie było go w pokoju.

– Aha.

– Ma ktoś płyn do naczyń? – zawołała Liz z toalety.

– Nie! – odkrzyknął Mike. – Ale na rurze koło drzwi leży kawałek mydła.

– Czy to znaczy, że jadłam z talerza umytego mydłem? – skrzywiła się Frankie. – Co za koszmar! Mogłam złapać jakieś paskudztwo. Ta nora nie była myta od wieków.

– Ja też nie – zauważył z rozbawieniem Geoff.

– Specjalnie tak mówisz, żeby mnie zemdliło – stwierdziła Frankie.

– Poza tym – podjął wątek Mike – gdybyś nawet złapała jakieś świństwo, to pewnie by cię nie zechciało.

Frankie cisnęła w niego pudełkiem po słodyczach, które bezwładnie zawirowało w powietrzu, zostawiając za sobą smugi białego pyłu.

– Skoro Frankie zamierza szaleć, powinniśmy to chyba wyłączyć – zaproponował Geoff, wskazując na butlę. – Nie wydaje się wam, że przypomina statek kosmiczny rodem z niskobudżetowego filmu science fiction z lat pięćdziesiątych? Wystarczyłoby odwrócić ją do góry nogami, prysnąć sprayem na srebrno i już mamy pojazd międzyplanetarny.

Kiedy Alex przekręciła zawór, syk kuchenki przycichł, a coraz bledsze niebieskawe płomienie znikły w końcu na dobre. Liz wróciła z umytą patelnią, Mike zaś, który czuł jeszcze w nieruchomym powietrzu Bunkra woń niedopalonego gazu, przypomniał sobie, jak sam w ogródku na tyłach domu wymieniał zużytą butlę. Musiało w niej zostać jeszcze trochę gazu, bo kiedy odkręcił zawór, pociekła z niego strużka rzadkiego płynu, który zalśnił na okolicznych źdźbłach trawy i zaraz wyparował. Uśmiechnął się do własnych wspomnień – to musiało być co najmniej dziesięć lat temu.

– A mnie by się przydała poduszka – westchnął Geoff.

Pamiętam, jak siedziałam na łóżku w pokoju Martyna: letnie słońce igrało na ścianie, a w tle sączyła się muzyka z lat siedemdziesiątych. Było nas tam ośmioro: Vernon głaskał liście jednej z wielu roślin, które metodycznie rozstawiono w całym pokoju; Geoff wczytywał się w teksty na okładkach płyt; uśmiechnięty Martyn, z kieliszkiem czerwonego wina w ręku, gawędził o końcu semestru.

– Wydaje mi się odrobinę... hm... obraźliwe, że szkoła oczekuje ode mnie zainteresowania tego rodzaju cyrkiem. Myślę, że dyro jest tego samego zdania. Zauważyliście, że wszystko ogranicza ostatecznie do minimum?

– Racja, facet tak samo jak wszyscy chce odwalić robotę i iść do domu – mruknął

Steve.

– W przeciwieństwie do szanownego wicedyry.

– Law to dupek – rzucił Vernon, spoglądając zza liści. – Nie tak dawno ktoś o mały włos nie powiedział tego głośno.

– Law to nadęty dupek, który swoją pompatyczność narzuca wszystkim wokół – sprostował Martyn. – Najwyższy czas, żeby ktoś mu wreszcie pokazał, jakie zabawne może być życie.

– Law by nie zrozumiał nawet najbardziej oczywistego dowcipu z brodą do pasa – odezwała się Lisa.

– Możliwe, całkiem możliwe, ale jak lubi powtarzać dyro: trudno nie ponieść porażki, jeśli człowiek się nie stara.

– Zaiste ileż prawdy w tych słowach – wymamrotał Vernon z udawanym szacunkiem.

– Nalej mi jeszcze, co? Dzięki.

– To winko – rzekł Martyn unosząc kieliszek – pochodzi z Węgier. Może i nie ma równie subtelnego smaku jak trunki, do których przywykliśmy ostatnio... nie śmiej się, Steve!... ale jest bezsprzecznie tanie i mam go całkiem spory zapas.

– Skąd je wytrzasnąłeś? – zainteresowała się Lisa.

– Hola, przecież znasz zasady.

– W porządku. Powiedz przynajmniej jak bardzo tanie?

Vernon przerwał skubanie roślinki i wyprostował się.

– Najpewniej nic nie kosztowało. Jeśli się wie, gdzie szukać...

– Gibbon jest na dziedzińcu – wtrącił Geoff. – Zgred wygląda na mocno wkurzonego.

– Wciąż się ciska o samochód – przypomniała Lisa.

– Ach, Gibbon... – Martyn pokiwał głową. – Kolejny sztywniak na mojej liście. Ale spokojna głowa: już ja go wyluzuję.

Kiedy zabrakło znajomych drobiazgów, które na ogół wypełniają dzień, czas w Bunkrze zaczął się wymykać z ram rytuałów codzienności: godziny, poranki i popołudnia, przerwy w rozmowach stały się płynne, zmienne, przybierając za sprawą mieszkańców Bunkra zupełnie nowe formy. Mike uświadomił sobie, że obserwuje kolegów o wiele uważniej niż kiedykolwiek przedtem. Tego ranka był znacznie mniej rozmowny niż zwykle i dowiadywał się o nich więcej, niżby kiedykolwiek przypuścił. Potrafił już rozróżnić ich oddechy, dostrzegał różnice w pozach, jakie przybierali: Alex siedziała grzecznie jak pensjonarka, ze skrzyżowanymi nogami; Frankie najczęściej na boku, z podwiniętymi pod

siebie stopami; Liz prawie się nie odzywała, tylko od czasu do czasu przerzucała kartki niewielkiego notatnika.

Niektóre drobiazgi, jakie zaczął dostrzegać, drażniły go. Kiedy indziej pozornie nieistotna powtarzalność pewnych zachowań była dla niego źródłem przedziwnej przyjemności. Na granicy jego wzroku, w ścianie wysoko nad ich głowami, majaczył nieustannie zarys drzwi.

– Moim zdaniem – mówiła Frankie – to, czy kłamiesz celowo czy po prostu popełniasz błąd, nie ma żadnego znaczenia. Rezultat jest w obu wypadkach jednakowy.

– Nie zgadzam się – Alex zmarszczyła brwi. – Jeśli kłamię, robię coś złego, ale gdy po prostu popełniam błąd, trudno mówić o winie.

– Ja wam objaśnię różnicę – podchwycił uradowany Geoff. – Jeśli kłamiesz i cię na tym przyłapią, masz przechlapane. O pomyłki nikt się nie czepia.

– A właśnie, że tak – zaprotestowała Frankie.

Geoff zamyślił się na moment.

– Okej – zgodził się w końcu – może czasami.

– A co powiecie o kłamstwach w dobrej wierze? – włączył się Mike.

Alex spojrzała na niego znad okularków.

– Czy ja wiem?

– Nie widzę różnicy – stwierdziła Frankie. – To, czy kłamiesz czy nie jest bez znaczenia. Liczy się, co tak naprawdę mówisz.

Liz podniosła wzrok znad notatek.

– Według mnie różnica jest zasadnicza.

– Zdarzyło mi się raz zełgać... – zaczął Geoff, lecz Alex przerwała mu zdecydowanie:

– Dajże jej skończyć, chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Tylko tyle, że widzę różnicę – powtórzyła Liz z nutą zdziwienia w głosie.

– To znaczy?

– Chodzi mi o wpływ, jaki słowa wywierają na mówiącego. Frankie ma rację: to, czy kłamiesz celowo czy tylko niechcący, nie zmienia sensu wypowiedzianych słów. Ale i ty masz słuszność, bo kłamstwo to świadomy wybór. Dokonanie takiego wyboru wpływa na to, jaka jesteś.

Mike kolejny raz zauważył, że dowiaduje się o kolegach ciekawych rzeczy.

– Etam – powątpiewał Geoff – na mnie rzadko co ma wpływ.

– Może tego nie dostrzegasz – zastanawiała się Liz.

– A może ty się wymądrzasz?

– Proszę, proszę – odezwał się Mike – spory rozwiązane, konflikty zażegnane, poglądy obu stron przedstawione jak należy.

Przez twarz Liz przemknął wyraz poirytowania i Mike natychmiast pożałował tej nonszalanckiej uwagi.

– Czas na cholernie różowe badziewie – oznajmiła Frankie, wyjmując pudełko. – Ktoś ma ochotę? Okej, zjem sama.

– Zdarzyło mi się raz zełgać – zaczął jeszcze raz Geoff – i nie miałem z tego powodu żadnych nieprzyjemności. Dostało mi się za to za kłamstwo, którego nie było.

– Ludzie, czy naprawdę chcemy tego słuchać? – Frankie przewróciła oczami, ale nikt jej nie poparł. – Cholera, w takim razie mów, stary.

– Powiedziałem nauczycielce, że moja opowieść o rozlanym atramencie była kłamstwem. Miałem wtedy osiem lat.

– A za jakie kłamstwo nie oberwałeś? – dopytywał się Mike.

– Właśnie za to. Widzisz, historia z atramentem była prawdziwa, chociaż nie ja go rozlałem. Skłamałem, przyznając się do kłamstwa.

– Więc po co ci to było?

– Co? Rozlanie atramentu? Przecież ci mówię, że nie ja go rozlałem. To było...

– Nie o to mi chodzi. Czemu skłamałeś?

– Aha. – Geoff wzruszył ramionami. – Żeby się przekonać, jak to jest. Poza tym miałem w końcu do czynienia z belfrem, myślałem, że się zorientuje.

– Dlaczego jej nie powiedziałeś, że skłamałeś, przyznając się do kłamstwa?

Geoff wyszczerzył zęby w szalonym uśmiechu.

– Myślisz, że by uwierzyła? A to dobre!

– I warto było tego słuchać? – skrzywiła się Alex, próbując zachować powagę. – Ty i te twoje cholerne historyjki!...

– Przecież je lubisz!

– Nie macie innego tematu? – rzuciła Frankie błagalnym tonem.

– Może być seks?

– Gdybym miała dwa krzesła, tobym je zestawiała razem i spała na nich. To takie uniwersalne meble – westchnęła rzewnie Alex. – Lubię, kiedy mają szerokie poręcze, na których można stawiać szklanki z napojami.

Wczoraj wybrałam się na spacer nad rzekę i po drodze rozmyślałam o starych przyjaźniach. O przyjaciołach rzecz jasna także. Niewiele z tych sympatii przetrwało

wydarzenia w Bunkrze. Często się zdarza, że ludzie oddalają się od siebie. Większość z nas jest świadoma, że wizerunki przyjaciół, jakie w sobie nosimy, są uproszczone i niekompletne. Niejednokrotnie nie widzimy wszakże tego, że podobnie postrzegamy siebie. Pewnego dnia spoglądasz w lustro, zaniepokojony jakimś słowem lub uczynkiem, który wydał się niewłaściwy, i nagle widzisz obcą do bólu twarz.

Znałam kiedyś człowieka, który w pewnym sensie popełnił samobójstwo. Zmienił nazwisko, adres, znalazł pracę i założył nową rodzinę w jakimś schludnym, nowo powstałym miasteczku z dala od dotychczasowego domu. Całkowicie unicestwił swoje dawne ja. Jeśli uruchamiasz silnik samochodu w szczelnie zamkniętym garażu albo skaczesz w przepaść, to przynajmniej zostawiasz po sobie namacalną cząstkę tego, kim byłeś, odchodzisz z godnością. On nie potrafił i chyba nigdy mu tego nie wybaczyłam.

Siedziałam nad rzeką, wracając w myślach do tamtych wydarzeń, a rozgrzane letnie powietrze leniwie otulało moje ramiona i plecy. Minęły mnie dwie dziewczyny z psem na smyczy.

– Cześć! – zawołała jedna.

Pomachałam do nich.

– Miłego spaceru!

Zaśmiały się radośnie.

– Dzięki! – odkrzyknęła młodsza, po czym skręciły w boczną ścieżkę przecinającą zagajnik.

Podniosłam kamyk i wyrzuciwszy go wysoko nad wodę, zastanawiałam się, co napotka na swojej drodze. Potem wstałam i ruszyłam z powrotem do domu.

Obok mojej szafy stoi tekturowe pudło z rzeczami do wyniesienia na strych. Pełno w nim elementów historii, której granic wciąż jeszcze nie znam, historii opowiadającej o Martynie, o tym, kim był. Na samym wierzchu, na stosie kartek, notatników, szkolnych wypracowań, testów egzaminacyjnych i innych papierzysk nagromadzonych przez lata znajomości z Martynem, leżą dwa stosiki kaset magnetofonowych i dyktafon.

W zakamarkach tego pudła kryje się prawda, kompletna historia – jeśli taka w ogóle istnieje. Jakże nie chciałam przesłuchiwać tych kaset. Sporo czasu upłynęło, odkąd je nagrano, odkąd zarejestrowano słowo po słowie tę opowieść. Zapisana tam wersja różni się od tej, nad którą ja pracuję, ale i rzuca na nią wyraźny cień. Wystarczy ujawnić te nagrania, by udowodnić, że wydarzenia w Bunkrze nie zostały zmyślane, że nie były elementem jakiejś nieudanej zabawy czy przypadku. Widziałam wszystko i wiem, co zaszło.

Wkrótce do tego dojdę. Dzieciństwo to okres kształtowania charakteru. Kiedy już

powstanie szkielet przyszłej osobowości, obudowujesz go zgodnie z zasadami, które przyjąłeś za swoje. Osiągnąwszy dorosłość, zaczynasz rozumieć te zasady i wykorzystywać wzniesione w dzieciństwie fundamenty. Moment przejścia z jednego stanu w drugi to specyficzna, ulotna chwila, która dla wielu nigdy nie nadchodzi – ci nigdy nie stają się dorośli, nie mają pojęcia, kim naprawdę są; życie przecieka im przez palce, a oni myślą, że coś osiągnęli. W gruncie rzeczy nie wiedzą, gdzie wypatrywać tego, co nada sens ich życiu, a przecież cały czas powinni spoglądać we własne serce.

ROZDZIAŁ 3

Aby dostać się do toalety, Mike musiał przeskoczyć kałuże wody, które powstały w trakcie zmywania po lunchu. W niewielkim pomieszczeniu panował chłód, pod sufitem żarzyła się ponuro czterdziestowatowa żarówka. Słychać było nieustanne kapanie – brudna woda opływała brzeg kratki ściekowej i spadała tłustymi kroplami w otchłań podziemnego kanału, którego nurt unosił nieczystości po milionach istnień do morza. Mike uśmiechnął się niepewnie do własnych myśli i zapiawszy rozporek, skierował kroki ku swoim towarzyszom i nieco lepiej oświetlonej głównej części piwnicy.

– Czas na sjęstę – obwieściła Frankie, przeciągając się leniwie. – Po wyżerce wszystko prócz drzemki wydaje się nadludzkim wysiłkiem.

– Filozofka się znalazła – mruknął Geoff.

– Myślałam, że sjęsta to marka samochodu – wtrąciła beztrosko Alex.

– Rany, nie zaczynaj – poprosił Mike. – Ogłosmy rozejm na trzy krótkie dni.

– Właściwie na dwa i pół – uściśliła.

– Żeby się tak naprawdę zadomowić, powinniśmy zorganizować parkietowe – oznajmił Geoff.

– Chyba parapetówę?

– To akurat zależy wyłącznie od poziomu zaproszonych – odparł.

– Słońce w zenicie praży spiekotą krajobraz – odezwał się Mike. – Radosny śpiew cykad oraz im podobnych bożych krówek niesie się echem przez gaje pomarańczowe.

– Myślicie, że zaproszenie Mike’a to dobry pomysł? – zastanawiała się głośno Alex.

– Hm, jak znam życie nie najlepszy, ale pominięcie go byłoby aktem prawdziwego okrucieństwa, więc jakoś się przemożemy.

– Frankie też trzeba zaprosić – dorzuciła Frankie. – Oczywiście po sjęście.

– Samotna wieśniaczka z tobołem na plecach przemierza z mozołem pola i łąki – błaznował dalej Mike. – Ale, ale, zaczekajcie! To Frankie niosąca owinięty w lnianą chustę ładunek słodkości; bieży na odległy targ, aby zarobić choć parę groszy.

– Zamknij się już – nie wytrzymała Alex.

– Żałuję, że jadłam te bułeczki z ziarnami – poskarżyła się Frankie. – Powłaziły mi do zębów.

Liz podniosła wzrok i posłała Mike’owi szeroki uśmiech.

– Hm? – spojrzał na nią pytająco.

– Nie, nic – wzruszyła ramionami.

– O co chodzi?

– Rzućmy lepiej okiem na zawartość sekretnego zapasiku – zaproponował Geoff, otwierając swój plecak. – Wielkie nieba!

– Co się stało? – zaintrygowała się Frankie.

– Cały zapas oranżadki zamienił się w przedziwne trunki! – zawołał z udawanym oburzeniem. – Nie do wiary! Dżin... whisky... jakieś trudne do zidentyfikowania paskudztwo... blaszane kubki... No nie! Wygląda na to, że ktoś mi podmienił plecak!

– Trudno – westchnęła Frankie – skoro nie ma oranżadki, trzeba będzie wypić to, co jest.

– Obawiam się, że masz rację – zgodził się Geoff.

– Ale chyba nie teraz? – przeraził się Mike. – Dopiero co minęła trzecia.

– No pewnie, że wieczorem, pacanie. Zamiast jak zwykle gapić się w telewizor albo łąpać lubieżnie na suczkę sąsiada, weźmiesz udział w niezłym festynie.

– Wyrósł jak dąb, a głupi jak głąb – rzuciła Alex.

– Skoro już jesteśmy przy czynach lubieżnych wobec zwierząt – zagaił Mike – to pamiętacie przemówienie na koniec semestru?

Frankie parsknęła.

– To było najzabawniejsze przemówienie pod słońcem – orzekła, z trudem opanowując chichot. – O mało się nie zlałam ze śmiechu.

– Podobnie jak reszta szkoły – dorzucił Geoff.

– Oj, prawda – potwierdziła rozbawiona Liz.

– I ta mina wicedyry – dodał Geoff, wybuchając głośnym śmiechem. – O kurde, o tym będzie można opowiadać wnukom.

– Sam sobie winien – podsumowała Frankie.

Alex podrapała się po nosie.

– Eee, tam, po prostu naraził się Martynowi. A że jego dom graniczy z farmą...

– I więcej nie trzeba – wtrącił Mike. – Niejednemu dostało się z bardziej błahych przyczyn.

– Święta racja – przytaknęła Liz.

Leżeliśmy obok siebie na wpół okryci prześcieradłem. Na ścianie tańczyły promienie zachodzącego słońca, a drzewa za oknem przyoblekały się w kolor rozżarzonego żelaza.

– Marzy mi się...

– Co takiego?

Uśmiechnęłam się.

– Wiele rzeczy.

– Ale czego byś chciała w tej chwili?

– Och... żeby to lato trwało wiecznie. Czuję się, jakbym bez przerwy śniła na jawie.

– Gadanie...

Ścisnęłam go za ramię.

– Przestań, przecież wiesz, że to prawda.

– Skoro tak twierdzisz...

– To ja jestem pisarką. Jeśli mówię, że to lato jak ze snu, to tak ma do cholery być.

Roześmiał się głośno.

– Powiem ci coś, chcesz?

– Chcę.

– Jesteś niepoprawną romantyczką.

– Akurat!

– A właśnie że tak. Udajesz twardziela, ale jesteś marzycielką.

– Może i jestem. A o czym ty marzysz?

– To tajemnica.

– O nie! – zaprotestowałam. – Powiedz.

Zastanawiał się przez chwilę.

– To poważne marzenie.

– No więc?

– Obiecuję, że ci powiem, jak skończysz pisać, zgoda?

– No dobrze, ale czemu nie teraz?

– Chcę, żebyś najpierw zamknęła tamtą sprawę.

Słuchałam go jednym uchem.

– Miło z twojej strony.

– Cóż...

Dobrych parę godzin leżeliśmy tak, snując marzenia.

Kiedy spojrzałam na zegarek, była siódma.

– Liz? – usłyszałam.

– Hm?

– Nie możemy tak leżeć całą noc.

– Niby dlaczego nie?

– Bo nie.

– Bardzo bym chciała – szepnęłam.

– Ja też, ale to nie zmienia postaci rzeczy.

– W takim razie zostań jeszcze chwilę, dobrze? – poprosiłam.

Życie w pojedynkę wydaje się w pewnym sensie całkiem przyjemne. Ale życie z kimś bliskim to zupełnie nowe, odmienne doświadczenie, nawet jeśli ta wspólnota trwa zaledwie parę godzin. Tego wieczoru, mimo że byliśmy sobie tak bliscy – a może właśnie dlatego – Bunkier wydawał się niezwykle odległy, prawie jak fragment złego snu, który po przebudzeniu z trudem sobie przypominasz. Te kilka godzin spędzonych razem wyznaczyło na chwilę granice naszego świata, całą niewyraźną resztę spowijała mgła. Gdybyśmy potrafili smakować teraźniejszość, bez oglądania się na to, co było lub co może być, życie stałoby się o wiele prostsze. W gruncie rzeczy aż nazbyt często przegapiamy to, co dzieje się tu i teraz, pozwalając, by wspomnienia i nadzieje na przyszłość zatrzymały nas żałami i ambicjami, których nie sposób pogodzić. Ta przypadłość między innymi czyni nas ludźmi. Przyjemnie było wszakże zapomnieć o tym na chwilę i pobyć po prostu razem.

W końcu ubraliśmy się i podążyliśmy ku naszym wieczornym, jakże odmiennym obowiązkom.

– A kiedy wrócił, zawałił całe dwa lata i wszystkie możliwe egzaminy. Koncertowo spieprzył sobie życie. – Frankie zamyśliła się na chwilę. – Wpakował się w niezłe gówno, ale i tak nikt go nie lubił.

– Ja go nawet nie znałem – zaznaczył Mike.

Sądząc po godzinie, którą wskazywały ich zegarki, popołudnie właśnie obracało się w wieczór. Liz rozpoczęła przygotowania do kolacji: wyjmowała z plecaka paczki ryżu i kartony z sosem, układając je wokół siebie na podłodze.

– Nie tego się tak naprawdę spodziewałem – wyznał Geoff.

– Co masz na myśli?

– Wszystko, całe to przedsięwzięcie. Po Martynie można na ogół oczekiwać czegoś bardziej... nie wiem, jak to określić...

– Efektownego? – podsunęła Frankie.

– No, czegoś wystrzałowego. Sami wiecie, jakie numery ma na koncie.

– Numery to mało powiedziane – wtrącił Mike. – Przypomnijcie sobie Gibbona i drakę z wicedyrem.

– Martyn powiedział przecież, że to „eksperyment z rzeczywistością” – zauważyła Alex. – Może jest inny niż poprzednie.

– Myślisz, że Martyn wydorósł na stare lata? – skrzywił się Geoff. – Szczerze w to wątpię.

Mike zadumał się nad słowami kolegi. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że wyczyny Martyna są niedojrzałe; przeciwnie, bywało, że zastanawiał się, jak dalece reszta szkoły jest w stanie pojąć całą jadowitość jego wygłupów. Większość ludzi w tym, co robił, widziała wymyślne figle. Ale skoro to były tylko niewinne żarciki, to dlaczego Gibbon wyjechał w takim pośpiechu? O nie, Martyn jest zupełnie dorosły. Istotną część ubawu stanowi przecież obserwowanie, z jakim sprytem będzie kamuflował każdy następny wyczyn.

I jeszcze jedno: nauczyciele bywają dziwni, lecz nie wszyscy są głupi. Ktoś, kto potrafi tak skutecznie zacierać ślady i równocześnie cieszyć się świetną opinią grona pedagogicznego, nie może być zwykłym kawalarzem.

– O co ci właściwie chodzi? – zainteresowała się Frankie. – „Eksperyment z rzeczywistością” brzmi według mnie cholernie pretensjonalnie.

– Według ciebie wszystko jest pretensjonalne – prychnął Geoff.

– Odwal się – odparła ze sztucznym uśmiechem. – Więc?

– Niewykluczone – włączyła się Alex – że to wygłup poważniejszy niż inne.

– Inne też bywały całkiem serio – zaprotestował Geoff. – To właśnie było w nich zabawne. Puścić plotkę, że wicedyryro chędoży od czasu do czasu owieczki, to jedno, ale...

– Założę się, że to prawda – wtrąciła Frankie.

– Ale posunąć się do tego, co zrobił Martyn... – ciągnął Geoff, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Trzeba mieć łeb jak sklep, żeby uknuć coś podobnego.

– Czyli taki jak Martyn – skostatowała Frankie. – To pokręcony gość. Nie tak bardzo jak mój wujaszek, ale jest na najlepszej drodze, żeby mu dorównać.

– Ręka do góry, kto ma ochotę na małe co nieco! – zawołał Mike. – Ja bym coś przekąsił.

– Nie mogę!... Je za dwóch, a w ogóle nie tyje – jęknęła Frankie. – Niedobrze mi na jego widok.

– A wiesz, co mnie przyprawia o mdłości? – zagaił Geoff.

– Co takiego?

– Dwa palce wetknięte do gardła – odparował z błazeńskim uśmiechem.

Pewnego dnia siedziałam w ogródku na tyłach pubu Horseman. Było dość wcześnie, sąsiednie stoliki zajmowało zaledwie kilku turystów i parę młodych małżeństw z dziećmi. Lisa wyszła zza baru z dwiema szklankami, pogawędziłyśmy trochę. Nie byłyśmy zaprzyjaźnione, właściwie ledwośmy się znały. Zdarzało mi się spotykać ją u Martyna, gdzie – tak samo jak my – była jedną z wielu. Poza tym rzadko ją widywałam i kiedy tak siedziała ze szklanką w ręku na de ciemnozielonego żywopłotu, wydała mi się zupełnie inna niż dotychczas. Właściwie zupełnie nie przypominała dziewczyny, którą zapamiętałam.

Po pierwsze była śliczna; coś takiego nie przeszłoby raczej bez komentarza w Naszej Wspaniałej Szkole, której pełna napięcia atmosfera wibrowała skrywaną zmysłowością. Nie mogłam sobie jednak przypomnieć, czy któryś z moich kolegów z klasy komentował jej wdzięki. Może milczeli, bo nie figurowała w męskim katalogu dziewczyn do wzięcia – chodziła przecież z Martynem, a estyma, jaką ów się cieszył, zapewniała jej dozę nietykalności, o której inne mogły tylko pomarzyć. Prawdziwym wszakże powodem było – jak sądzę – to, że jej uroda nie wydawała się dotąd tak oczywista.

– Czy na to miałaś ochotę? – zapytała niepewnie.

– O tak, dzięki. – Piwo było chłodne, kusiło puszystą pianką. Przejechałam palcem po zamglonej szklance, potem przekreśliłam pozostawiony ślad.

– Naprawdę masz chwilę? – spytała. – Nie chcę cię zanudzać.

– Daj spokój. Chcesz tu zostać czy wolisz pójść do mnie? Mam straszny bajzel, ale trochę tu dziś chłodno, więc...

– Sama nie wiem... Chociaż właściwie czemu nie?

– Świetnie, dopiję tylko piwo i idziemy.

Przyjrzałam się jej uważnie: rzeczywiście wyładniała. Przynajmniej na tyle, by przyćmić moje wdzięki. Było w niej jednak coś dziwnego – może w sposobie, w jaki mówiła czy siedziała – coś, co napawało niepokojem.

Kiedy wstała, a na jej twarz padła na chwilę smuga światła, dostrzegłam w oczach dziewczyny cień strachu pomieszanego z desperacją. Natychmiast domyśliłam się, skąd to uczucie.

– No to chodźmy. – Podniosłam się z miejsca. – U mnie będzie o wiele wygodniej.

Skinęła głową, a kiedy minęłyśmy róg budynku, znikając z pola widzenia siedzących w ogródku gości, rzuciła konspiracyjnym szeptem:

– Chcę pogadać o Martynie.

– Wiem – powiedziałam, wpatrując się przed siebie. Zastanawiałam się, jak długo potrwa ta rozmowa.

Po kolacji – na zewnątrz musiał właśnie zapadać zmrok – zaczęli się sadowić na podłodze w przygotowaniu do imprezy.

– *It's in the way that you use it* ta da ta – nuciała Alex, balansując na kolanie plastikowym kubkiem do połowy wypełnionym chianti. – Ma ktoś chipsy albo ser?

– Mam paczkę jakichś rurek – zaofiarował się Mike – ale uprzedzam, że nie wyglądają najlepiej.

– Okej, zapomnij, że pytałam.

– Dla mnie mogą być – podchwycił ochoczo Geoff.

– Fuj – skrzywiła się Frankie.

Mike wygrzebał z plecaka obiecaną przekąskę i rzucił Geoffowi, który wyłowił z paczki pierwszy kawałek, pomachał nim chwilę w powietrzu i umoczywszy w winie, wpakował do ust.

– Rozmiękle jak cholera – skrzywił się. – A może zostawić je na później, kiedy mi już będzie wszystko jedno?

– I tak są pewnie lepsze niż to chianti – wtrąciła Alex.

– Istne siki Weroniki – zgodziła się Frankie, wychylając jednym haustem resztę wina.

– Nalej mi jeszcze, Mikey.

Mike bez słowa napełnił jej kubek.

– Skąd możesz wiedzieć, jaki smak mają siki? – zaciekawiał się Geoff.

– Pewnie bardzo zbliżony – rzucił Mike, chichocząc pod nosem. – Było za to tanie jak barszcz. Chyba nie sądziliście, że się splukam w trosce o wasze delikatne podniebienia?

– No to zdrówko, *amigo*.

– Ja zabrałam trochę... – zaczęła Liz i otworzywszy plecak, wyciągnęła kilka brązowych butelek.

– Liz, czy to piwko?

– Zgadza się.

Mike podrapał się w ucho.

– No, no. Kto by pomyślał, że masz tak bogate wnętrze?

Liz posłała mu przelotny uśmiech.

– Lubię piwo.

– Znacie to? Po winie rozum ginie, a od piwa... – trąkotał Geoff.

– ...głowa się kiwa – dokończył Mike w duecie z Frankie, która dodała z udawaną powagą: – Święte słowa.

– Ma ktoś ochotę? – spytała w końcu Liz.

– Ja się z tobą napiję – oznajmił Mike.

Reszta zdecydowała się poprzestać na chianti.

Mike postawił kubek z piwem na podłodze i rozpiąwszy do końca suwak śpiwora, zarzucił go na ramiona jak pikowane ponczo.

– Myślałem, że w jaskiniach jest cieplej – mruknął.

– Ciepłej niż gdzie? Kurde, chyba niż na biegunie – rozważał Geoff. – Poza tym to nie jaskinia, tylko piwnica. W jaskini, owszem, może być ciepło, jeśli wybierzesz opcję z pełnym wyposażeniem: futra dzikiej zwierzyny i tak dalej.

Frankie wyciągnęła z kieszeni scyzoryk ogłaszając:

– Zaraz wykonam malowidło jaskiniowe.

– Oszczędź sobie trudu. Mogłabyś tylko wydrapać nasze imiona – zaproponował Geoff. – Rocznik z Bunkra.

– Cholernie oryginalne! – prychnęła z przekąsem Alex.

– To na wypadek gdyby kiedyś odkryto to miejsce.

– Pies z kulawą nogą tu nie zajrzy – przypomniała Frankie. – W tej szkole nie brakuje takich zapomnianych i bezużytecznych zakamarków.

– Jeśli ktoś szuka czegoś kompletnie bezużytecznego i przestarzałego, można się śmiało założyć, że znajdzie to u nas – podchwyciła Alex.

– Julian... jak mu tam... poszedł raz wziąć prysznic w łaźni starej sali gimnastycznej i na trzy lata słuch po nim zaginął.

– Nic mu się nie stało? – spytał Geoff z udawanym zmartwieniem w głosie.

– Zmył się na dobre – wycedził Mike. – A wracając do tematu: przecież większość nauczycieli to strupieszate, całkiem bezużyteczne egzemplarze. Podejrzewam, że niektórzy od dawna nie żyją.

– I co, nikt się dotąd nie zorientował?

– Najwyraźniej.

– To wyjaśnia moje dobre stopnie z historii – skwitowała Frankie, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Żywa kronika – zawyrokował Mike.

– Że co?

– Nasza Wspaniała Szkoła to relikw. Wszyscy należymy do historii. Zabytkowy budynek, stetryczała kadra, no i my... bierzemy udział w tym cyрку.

– Świetnie, jestem częścią historii – ucieszyła się Frankie. – To mi się nawet podoba. Wykorzystam w następnym wypracowaniu.

– Jeszcze trochę i będziesz mogła się pożegnać na dobre z pisaniem wypracowań i podobnymi atrakcjami – zgasił ją Geoff.

– Ręka do góry, kto powtórzy materiał, jak na wzorowego ucznia przystało? – zawołała Frankie. – Ja na pewno nie!

– Zawsze mi się wydawało, że do powtarzania niezbędne jest uprzednie przyswojenie jakiejś wiedzy – zauważył Mike. – Ja mogę sobie darować powtórki, bo umiem tyle co nic.

– Taa... to, co robimy, wygląda mi raczej na paniczne zakuwanie – poparła go Alex.

– Bredzisz, Mikey – skrzywił się Geoff. – Już trzy tygodnie przed egzaminami ryjesz, aż furczy, i zawsze zdajesz śpiewająco.

Mike w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Nalej mi jeszcze – poprosiła Frankie i opleciona słomkową siateczką butelka poszła w obieg. Liz po namyśle otworzyła po drugim piwie dla siebie i Mike'a. Było mocne, zostawiało na języku metaliczny posmak.

– Co cię naszło z tym browarem? – dopytywał się Geoff.

– To wasze gędzenie działa mi na nerwy. Mnie się nie wydaje, żebyśmy tkwili w mrokach historii – zaprotestowała Alex. – Większość ludzi uznaje potrzebę zmian, ale według nauczycieli dobrze jest, jak jest.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jednak nie jestem częścią historii? – zmartwiła się Frankie.

Liz popatrzyła na trzymaną w dłoni butelkę.

– Mówiłam ci już, lubię piwo. Przywołuje dobre wspomnienia.

– Odległe wizje minionej bezpowrotnie młodości, tak? – dociekał Geoff.

– Coś w tym stylu.

– Jedyne wspomnienie, które budzi we mnie chianti, to potykanie się o krzywo zaparkowane auta we Włoszech – czknęła Frankie.

– Kiedy byłaś we Włoszech? – spytała Alex.

– Na Boże Narodzenie. Piękne widoczki, a do tego winko za bezcen.

– Gdyby tak moja rodzinka częściej wyjeżdżała za granicę... – rozmarzył się Mike. – Fajnie by było zobaczyć Włochy. Ale nic z tego.

– My już daliśmy sobie spokój ze wspólnymi wakacjami – żaliła się Alex. – Nie ma

takiego terminu, który by odpowiadał całej rodzinie.

– Większość ludzi pije nie po to, żeby pamiętać – zauważył Geoff – tylko żeby zapomnieć.

– Większość ludzi pije, żeby się po prostu schłać – mruknęła z przekonaniem Frankie.

– Ciekawe, czy to prawda – zamyślił się Mike.

– Najprawdziwsza.

– A co z piciem dla samej przyjemności? – drążyła Alex.

– Gdyby o to chodziło, ulubionym trunkiem narodu byłby sok z czarnej porzeczki – stwierdził Geoff.

– Ty natomiast nie ścisłałbyś kurczowo tego kubka chianti – dodała triumfalnie Frankie.

Alex skrzywiła się sceptycznie.

– Może i masz trochę racji, ale jest wielka różnica między odprężeniem a upojeniem.

– A tobie dokąd jest teraz bliżej? – zainteresował się Geoff.

– Po prostu się wyluzowałam i tyle – uśmiechnęła się bez troski Alex.

– Luz to świetna sprawa. Szkoda, że to piwo nie jest zimniejsze.

– Dopiero co narzekałeś na chłód – przypomniała Mike'owi.

– Ale kontekst był inny.

Trzeba powiedzieć jasno, że schodząc do Bunkra, nie znaleźmy tak naprawdę ani Martyna, ani siebie. Oceniając go, popełniliśmy błąd, którego konsekwencje okazały się dla nas dotkliwsze niż jakakolwiek dotychczasowa pomyłka.

W erze psychoanalizy truizmem stało się stwierdzenie, że geniusz i szaleństwo dzieli prawie niedostrzegalna granica. Wydaje mi się jednak, że hołdując takiej teorii, należy uznać współistnienie w ludzkim umyśle obu tych stanów. Kiedy było już po wszystkim, o tym także staraliśmy się nie myśleć.

Niewykluczone, że nauka nie ukuła jeszcze terminu na określenie przypadku Martyna. To jeszcze jeden powód, by ująć go w ramy opowieści, w której zawarta jest i jego, i nasza historia. Bez względu na to, gdzie Martyn jest teraz, ona nadal się toczy. I chociaż z czystej ciekawości chciałabym prześledzić ten wątek do końca, zdrowy rozsądek podpowiada, że Martyn odszedł i nie powinnam się już bać.

ROZDZIAŁ 4

Myślę, że zdążyliśmy się wystarczająco dokładnie zaprezentować. W ciągu tych trzech dni dokonaliśmy niewielu odkryć: rozmawialiśmy, pili, nudzili się – powoli zaczynało nam doskwierać towarzystwo grupy. Nikt z nas nie musiał dotąd żyć w podobny sposób: nieustanna obecność innych oraz ich nawyki i fobie szybko zaczęły drażnić i denerwować. Irytacja objawiała się rozmaicie: sarkastyczne przytyki i lżejsze zniewagi przemycano jako niewinne docinki. Nic wielkiego, nic ważnego. Żadne z nas nie zdawało sobie tak naprawdę sprawy, w cośmy się wpakowali. Raz czy dwa ktoś wspominał z niepokojem o zbliżających się egzaminach, ktoś inny wyraził żal, że zamiast wkuwać, tkwimy w tej głupiej piwnicy. Na ogół jednak żyliśmy chwilą, co – zwłaszcza z perspektywy czasu – wydaje się raczej infantylne.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są jak punkty na linii, która może łączyć początek z końcem albo po prostu ciągnie się w nieskończoność. Łatwo wpada się w nawyk oglądania zaledwie niewielkiego jej wycinka. Jak często w końcu zdarza nam się spojrzeć wstecz na to, co było, i wyciągnąć jakąś naukę? Jak często ktoś nami potrząsa i siłą zmusza do przyjrzenia się temu, co może się zdarzyć? Niewykluczone, żeśmy już kiedyś tego dostąpili. Ale też całkiem możliwe, że myśl o refleksji nie przyjdzie nam nigdy do głowy.

Jedynym pewnikiem, który tkwi w przyszłości niczym mur wzniesiony z kamienia i popiołu, jest śmierć. Bywa, że odejście bliskiej osoby pozwala na chwilę wejrzeć w to, co nas czeka. Śmierć to dla ludzkiego umysłu przedziwne, przerażające pojęcie, dlatego człowiek od początków swojego istnienia próbuje oswoić towarzyszący jej strach. Skąd bowiem wzięły się odwołania do prochu, z którego powstajemy i w który ostatecznie przyjdzie nam się obrócić? Dlaczego czujemy przymus, by przyoblekać śmierć w co prawda zimne i posępne, ale znajome rekwizyty? I czemuż to krainę śmierci umieszczamy zawsze w samym sercu podziemi? Te pytania chyba nie wymagają odpowiedzi.

Nasza historia toczy się dalej. Istota wydarzeń w Bunkrze oraz ich wspomnienie nabrały w moich oczach nowej ostrości, a twarze i głosy wpasowały się w przypisane im

miejsca dokładniej, niż przypuszczałam. Tamta noc rozpoczęła się i skończyła w całkowitych ciemnościach. Za ledwie siedem godzin później wstał nowy dzień, gdyż nawyki związane ze snem i czuwaniem niełatwo ulegają zmianom.

Otworzywszy oczy, Mike dostrzegł ciemnoszary zarys brzegu swojej poduszki. Pod powiekami przemknął mu jakiś obraz, ale gdy spróbował sobie przypomnieć, co mu się śniło, rozplynął się bezpowrotnie. Zamrugał i pocierając zeszywniały kark i twarz, bezskutecznie próbował odczytać godzinę na zegarku. Przewyciężywszy senne odrętwienie, dostrzegł nieopodal przytłumione światło, więc podniósł się na łokciu i rozejrzał. Jakieś pięć stóp na lewo majaczyły plecy Liz, która czytała książkę przy latarce. Uśmiechnął się w duchu. „Oto sekretne życie Liz Sheardon”, pomyślał, przekręcając się na plecy. Usłyszawszy, że ktoś się poruszył, Liz spojrzała przez ramię.

– Cześć, śpiochu – wyszeptała.

– Cześć – odpowiedział także szeptem Mike. – Długo już nie śpisz?

– Zbyt długo – odparła, prostując się nieco i podciągając śpiwór pod brodę. – Obudziłam cię?

– Nie, już się wyspałem, chociaż trochę mnie wczoraj sponiewierało.

Liz zachichotała z rozbawieniem.

– Ja też przesadziłam z piwem. Słyszałeś, jak wyczołgwałam się o trzeciej w nocy na siusiu?

– Nie. – Mike uśmiechnął się szeroko.

– Szczęście, że miałam latarkę, inaczej pewnie bym kogoś stratowała.

– Że też chciało ci się tachać tu latarkę!

– Żarówki czasem się przepalają – wzruszyła ramionami.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Mike. – Ty naprawdę sporo nad tym wszystkim główkowałaś, co?

– To znaczy?

– Nikt oprócz ciebie nie pamiętał o ręczniku. A teraz to. Niby nic wielkiego, ale ja się właściwie nie zastanawiałem, co wpycham do plecaka.

– Chyba po prostu przywykłam do tego, że sama muszę o siebie zadbać.

– Nic w tym złego – odrzekł Mike, zastanawiając się, co dokładnie Liz miała na myśli.

– Może i tak. – Umilkła na chwilę. – Mike?

– Mm?

– Śniło ci się coś?

– Nic, co bym pamiętał. Czemu pytasz?

– Krzyczałeś przez sen.

Mike poczuł, jak ogarnia go rozbawienie i zażenowanie.

– Poważnie?... A co?

– Nie zrozumiałam. To było przed chwilą. Zaraz potem się obudziłeś.

– No, no, zaczynam już gadać do siebie. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Pamiętam, jak na zeszłorocznej wycieczce pocziwina Marmolada zaryczał na cały głos: „Króliki, ja pierdołę!” i obudził wszystkich prócz siebie.

– Serio?

– No. – Mike uśmiechnął się na wspomnienie zamieszania, jakie wtedy powstało.

Liz spojrzała w górę, tam gdzie powinien znajdować się sufit.

– Kiedy się tu siedzi tylko przy latarce, można by uwierzyć, że nad nami nie ma już nic – wyszeptała. – Zupełnie nic.

Zaskoczyła go ta uwaga; wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale po grzbiecie przeszły mu ciarki.

– Mike?

– Mm?

– Pokażę ci coś. Chcesz?

– No?...

– Patrz uważnie. – Latarka zgasła i w jednej chwili Bunkier pogrążył się w całkowitej ciemności. – Spójrz w górę, na drzwi – dobiegł go głos Liz.

Mike starał się przebić wzrokiem otaczającą go czerń. Nagły brak światła sprawił, że pod powiekami zaczęły mu leniwie sunąć czerwono-zielone kształty, które stopniowo jednak znikwały.

– Widzisz?

– Nie, gdzie? Czego mam szukać?

– U góry, mniej więcej na wysokości połowy drzwi.

Mike wyteżył wzrok.

– Nic nie widzę.

Jego uszu dobiegło zniecierpliwione szuranie i za moment Liz kucnęła tuż obok niego.

– A teraz widzisz? – Małe dłonie nakierowały twarz Mike’a ku niewidocznej przeciwniejszej ścianie, wyżej, niż spoglądał do tej pory.

– Wydaje mi się... tak, teraz widzę. Co to jest?

Ponad nimi mrugało na czarnym firmamencie blade, ale teraz – kiedy wiedział, gdzie

patrząc – wyraźnie widoczne szare światełko.

– To dziurka od klucza – wyszeptała Liz, cofając ręce. Chwilę później Mike usłyszał, jak wślizguje się z powrotem do śpiwora. – Fajnie, że mamy na tym naszym niebie własną gwiazdę, co?

– Mizerna ta gwiazda – odrzekł.

– Prawda – przyznała – ale lepsze to niż nic.

– Yhm – Mike kiwnął twierdząco głową.

Latarka rozbłysła na powrót i maleńka plamka wczesnoporanego światła mrugnęła i znikła.

– Nie mów o tym nikomu – poprosiła Liz. – To tajemnica rannych ptaszków.

– Okej. – Mike zamyślił się na chwilę. – Wiesz co?... – zaczął, ale w tym samym momencie rozterkotał się budzik Geoffa.

– Zamknij się, kurduplu – wymamrotał chłopak i przygniół go ręką.

Ze śpiwora Frankie wychynęły jej dłonie.

– O Boże, która godzina? – ziewnęła na cały głos.

Znad rzeki dochodziły głosy rozbawionych dzieci, które mieszały się z dźwiękami napływającymi z zagajnika: bzyczeniem owadów, krzykami ptaków i wibrowaniem tysięcy rozgrzanych w słońcu traw, kwiatów oraz drzew.

Ścieżka, która przecina las, jest szeroka i ruchliwa, lecz jej liczne rozgałęzienia docierają w gęściej zalesione zakątki. Gdyby nie regularny ruch samochodów na widocznej w oddali drodze, zagajnik mógłby się wydać prawdziwym lasem, a pobliskie miasto złudzeniem.

Wybraliśmy się tam, bo pogoda była wymarzona na spacer, ale także dlatego, że miałam mu jeszcze sporo do powiedzenia; w takim otoczeniu było mi o niebo łatwiej.

– No więc?... – niecierpliwił się Mike.

– To nie takie proste... Ta opowieść sięga daleko wstecz, znacznie dalej niż do minionego semestru czy Bunkra.

– Z powodu Martyna?

– Tak. To niby bardzo proste, ale równocześnie strasznie skomplikowane. Jest wiele spraw, o których się nie dowiem, bo nie ma od kogo. Lisa pojawiła się w tym wszystkim zupełnie niespodziewanie.

– Czy ja na pewno chcę wiedzieć, w czym mieliśmy rację? – zamruczał prawie do siebie.

- To nie będą dobre wieści.
- Tego już się zdążyłem domyślić.

W tej samej chwili gromadka kosów przecięła połąć bezchmurnego błękitu.

W końcu opowiedział mi, a właściwie zaczął opowiadać różne rzeczy... Już ci mówiłam: o tym, gdzie się wychował i tak dalej; jaki jest. Ciągłe powtarzał, że kiedyś był zupełnie inny, tak jakby uważał, że musi mi to wyjaśnić, jakby się bał, że nie zrozumiem. A ja go zachęcałam: „Okej, pewnie, mów dalej...”, no wiesz... nie chciałam, żeby przestał koncentrować się na sobie, bo mógłby zamiast tego zacząć mówić o nas. Więc powtarzałam: „Mów dalej” i przytakiwałam, żeby nie przestawał gadać.

Niekiedy gładził moje włosy i mówił, jaka jestem piękna, ale przez cały ten czas narastała w nim dziwna nerwowość, jakby się czegoś obawiał. Wydawało mi się... Miałam wrażenie, że się mnie boi, co było naprawdę głupie, bo to ja bałam się jego. Ale takie chwile nie zdarzały się często, jedynie od czasu do czasu; dotykał moich włosów i nigdy nie posunął się dalej. Gadał za to godzinami – zazwyczaj o bzdurach.

Mówił, że jego hobby to bujanie w obłokach, że lubi dumać o różnych rzeczach, obmyślać scenariusze i tak dalej... Spytałam, jakie scenariusze, ale tylko się roześmiał. Mówił, że są na mnie za ambitne, że na wszystkich są za ambitne – dokładnie tak to ujął. Zupełnie jakby chodziło o sprawy, które tylko on jest w stanie pojąć. Może miał rację. Jego pokój był kompletnie pozbawiony dekoracji – gołe ściany, żadnych plakatów ani obrazków, więc chyba naprawdę żył w świecie wyobraźni.

Ta kobieta, jego ciotka – poznałaś ją, pamiętasz? – kręciła się prawie cały czas po domu. Wuj wracał wieczorami. Traktowali go chyba całkiem normalnie... przynajmniej wuj na pewno. W niej wyczuwało się czasami jakieś wahanie. Ogólnie byli okej, to znaczy całkiem sympatyczni. Często wiali mnie herbatą i gadkami w stylu: „Och, jesteś dziewczyną Martyna?” Przeważnie było miło. Czulałam, że są zadowoleni, tak szczerze... no wiesz, że zaprosił kogoś do siebie, że im przedstawił całkiem przyjemną dziewczynę z porządnej rodziny. Z początku wszystko dobrze się układało.

Nie wiedziałam nic o Bunkrze; kiedy się dowiedziałam, „eksperyment „już trwał. Daję słowo. Gdybym wiedziała wcześniej, na pewno bym komuś powiedziała. To nie tak – wiem, że znałam Martyna z innej strony niż większość ludzi, ale myślałam, że wszystko jest pod kontrolą... że on się potrafi kontrolować. Nie zdawałam sobie sprawy, do czego może być zdolny, aż przekonałam się na własne oczy.

Zawsze był bardzo lubiany w szkole i w ogóle. Ludzie rwali się, żeby przebywać w jego

towarzystwie, przyjaźnić się z nim. Czułam się jak niewdzięcznica przez te swoje wątpliwości. Jakby to we mnie tkwił problem, jakbym go sobie wmawiała, jakby to, co mnie się wydawało dziwne, było zupełnie normalne. No i te komentarze znajomych: „Ale z ciebie szczęściara, jesteś jego dziewczyną „. A on nigdy nie był mój, rozumiesz? To nie był Martyn, chłopak Lisy, nigdy w tej kolejności... Nawet kiedy dziewczyny o nas paplały, zawsze byłam traktowana jak dodatek do niego. I wszystkim się najwyraźniej wydawało, że powinnam być wdzięczna za taką rolę. Z czasem coraz trudniej coś takiego odkręcić, wiesz? Myślę, że – przynajmniej na początku – wydawał się całkiem normalny. Chociaż trzeba przyznać... nie, był w porządku. Naprawdę. Tyle że sięgając pamięcią do początków, widzę teraz, że...

No i chyba nie miałam w sobie zbyt wiele siły. Nie potrafiłam tak po prostu odwrócić się na pięcie i rzucić go, nie dał mi przecież żadnego powodu. A przede wszystkim... Cholera, Liz...

Przede wszystkim wydawało mi się chyba, że go kocham. Wyobrażasz sobie? Byłam niemal zakochana. Tak trudno było nie dać mu się... porwać, unieść... bardzo chciałam być równie popularna, równie lubiana. A on mi to ułatwiał. Przez jakiś czas było cudownie, nawet biorąc pod uwagę okresy, kiedy nie był tak naprawdę sobą. Czasami jednak wyłaziło z niego coś... coś, co na ogół skrzętnie skrywał. Ale przecież spędzaliśmy ze sobą tyle czasu... Chciał mnie bez przerwy widywać, każdego dnia i wieczoru; patrzył na mnie i mówił o rzeczach, których tak naprawdę nie rozumiałam – o poglądach na życie, o tym, co sądzi o tym czy o tamtym, komu jego zdaniem powinno się utrzyć nosa, a kto jest następny w kolejce ofiar jego diabelskich żartów.

Nigdy się z niczego nie śmiał... Pamiętam, jak myślałam: „On jest za dojrzały, żeby się naśmiewać z byle czego, po prostu odstawia zaplanowany numer i obserwuje efekt... „Ale nie miałam racji, teraz to widzę. Nie sądzę, żeby w ogóle uważał te żarty za zabawne, rozumiesz? Ale jeśli nazwiesz coś żartem, to wszystko jest w porządku, prawda? Przecież to był tylko żart. Kogo obchodzi, że jego ofiara musi odejść ze szkoły? Śmiechu i tak było co niemiara, no nie? Teraz mnie to przeraża... Nawet gdyby go złapano i gdyby wszystko się wydało, Bunkier można by potraktować jako nieudany figiel. Może... może to była część tego jego eksperymentu, badanie gruntu, przygotowania... Nazywał Bunkier... nie pamiętam dokładnie – prawdziwym żartem czy jakoś tak. Tak naprawdę w niczym, co robił, nie chodziło o zabawę.

Bywały jednak dni, kiedy gra pozorów, fasada, za którą się ukrywał, rzędną niespodziewanie... I wtedy zaczynał głaskać moje włosy, mówić, patrzeć na mnie jakoś inaczej i... no wiesz... Jakby czekał na coś albo czegoś szukał, nie wiem, jak to określić. Nie posuwał się dalej, ale w jego oczach czaiło się coś dziwnego, innego – nic z tego nie rozumiałam,

kompletnie nic. Daję słowo, że bym do ciebie przyszła, gdybym wiedziała. Ale on mi nic nie powiedział, ani słowa, aż do...

Wyłączyłam magnetofon. Uświadomiłam sobie nagle, że mimo ciepła panującego w pokoju i mojej determinacji cała drzę.

– Co bym teraz robiła? – powtórzyła Alex. – Nie mam bladego pojęcia. Jest ładnie, więc pewnie bym się snuła po okolicy.

– Ja bym spała – odezwała się Frankie. – W końcu nie ma jeszcze południa. Nie mogę uwierzyć, że tacyście skorzy do zrywania się bladym świtem.

– Robimy to dla twojego dobra – rzucił Geoff. – Inaczej chrapałabyś, a my byśmy cię polewali wodą, żeby uciszyć ten hałas. W rezultacie byłabyś i niewyspana, i mokra.

– Akurat!

– Ja najchętniej bym pobył na świeżym powietrzu – rzekł Mike. – Jak ta zabawa się skończy, dobrze mi zrobi górską wędrówka. Gdziekolwiek, byle było jasno i powyżej poziomu morza.

– Wcale ci się nie dziwię: po tej norze! – Alex kiwnęła zgodnie głową. – Zaczynamy mieć objawy łagodnej klaustrofobii.

– Klaustrofobia byłaby istnym koszmarem – wtrąciła Frankie. – Ściany! Ściany! Uważajcie na ściany!

– Prawie jak w „Gwiezdnym wojnach” – przytaknął Geoff.

– Co? – nie zrozumiała Frankie.

– W zeszłym roku o tej porze leżałem w łóżku z grypą. – Mike’owi zebrało się na wspomnienia. – To było paskudne choróbsko.

– A ja?... – rozmarzyła się Alex. – Rok temu o tym czasie siedziałam we Francji.

– Mówiłaś, że nie wyjeżdżacie już na wakacje.

– Owszem, ale z rodziną. Ojciec non stop krąży między Anglią a Stanami, a mama jest wiecznie zajęta jak nie pracą, to innymi sprawami. Pojechałam do Francji z przyjacielem. Mieszkaliśmy w przytulnym, sypiącym się zajeździe i całe dwa tygodnie oddawaliśmy się słodkiemu lenistwu.

– Podobało ci się? – zainteresował się Mike.

– Jasne, nawet bardzo. Lubię Francję, bo z jednej strony masz ultranowoczesność, a z drugiej zakątki prawie nie zmienione od czasów średniowiecza.

– To prawie jak u mnie w domu – mruknął Mike.

– Frankie, a ty?

– Ach, w zeszłym roku o tej porze byłam... nie mogę sobie przypomnieć. Poczekaj – wyglądała na zdezorientowaną – pierwszy tydzień ferii... aha, już wiem. To był prawdziwy sezon na balangi, pamiętacie? Bez przerwyśmy imprezowali!

– No i jak to wyglądało? – spytał Geoff, w skupieniu wydłubując z kolana dżinsów nitkę.

– Nie pamiętam... chociaż nie, mam. Urządziliśmy spóźnionego sylwestra – zachichotała Frankie. – Pojechaliśmy do Londynu, zatańczyliśmy na Trafalgar Square, wszystko zgodnie z pieprzoną tradycją.

– My, to znaczy kto? – dociekał Mike.

– Ja, Kate, Jim Stevens, Alice, Dobbs, no i cała reszta.

– Ach, ta reszta. – Mike wyszczerzył zęby w teatralnym uśmiešku.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Frankie stanowczym tonem.

– Że to grupa, którą łączy jedno – oznajmił Geoff – silna żądza zrobienia kariery.

– Odpieprz się, dupku – odparowała. – Powinam sobie wydrukować karteczki o tej treści i dawać ci je, zamiast strzępić język i marnować czas.

– To chyba dość kosztowny pomysł, biorąc pod uwagę, ile razy na dobę mówisz mu, żeby się odpieprzył – skonstatował Mike.

– A ty, Geoff? – Alex starała się załagodzić sytuację. – Co porabiałeś?

– Ja? Kiedy?

– Gdzieś się podziewał w zeszłym roku o tej porze?

Wzruszył ramionami.

– No wiesz, tu i tam.

– No gadaj że, stary – nalegał Mike.

– Cóż, myślę, że mniej więcej wtedy naszą chatę opanowali terroryści. Musieliśmy wezwać wuja George'a, żeby zrobił z nimi porządek. Wicie, poczciwy George służył w oddziałach specjalnych, ale go wywalili, bo bywał za ostry.

Mike uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– A poważnie?

– Nie pamiętam. – Geoff prychnął lekceważąco. – Pewnie jak zwykle się opieprzałem. Jestem za leniwy, żeby wytrzymać wasze tempo.

– Ja leżałem w łóżku z grypą – przypomniał mu Mike.

– Łóżko? Dla mnie bomba. Szkoda tylko, że w takim towarzystwie.

– Nie zmieniaj tematu. Założę się, że robiłeś coś ciekawszego – nie dawała za wygraną Alex.

– Czy ja wiem? Może. Widać cholernie zapadło mi w pamięć.

– Liz, a ty? – drażyła Alex.

– Siedziałam na szopie w ogrodzie.

– Jak to? Przez całą Wielkanoc?

– Nie, skąd, dokładnie rok temu o tym czasie. Postawiłam w ogrodzie szopę i ocieplałam dach.

– Sama? – zdziwił się Mike.

– Sama. Taka ze mnie Zosia samosia – potwierdziła Liz.

– Wybudowałaś szopę? – Alex wytrzeszczyła oczy. – Jestem pod wrażeniem.

– Wygląda na to, że bawiłaś się równie dobrze jak ja – westchnął Geoff.

– Miło to wspominać – odparła Liz. – Szopa nadal stoi. Moje dzieło.

– Potrafisz robić mnóstwo rzeczy, co? – zauważyła Frankie. – Nieźle gotujesz, a teraz się okazuje, że na dodatek budujesz szopy. Nie wiedziałam, że jesteś taka wszechstronna.

– To kwestia przyzwyczajenia – ucięła Liz.

– A co serwujemy na lunch? – przyszedł jej w sukurs Mike. Jakoś wyczuł, że rozmowa zesłała na temat, który jest dla Liz krępujący.

– Oho, głodomór podnosi swój szpetny łeb – odezwał się Geoff.

– Tylko nie każcie mi znowu jeść tej sieczi, którą nazywacie szynką – jęknęła Alex.

Miło spędziliśmy tamten wieczór. To był jasny punkt na tle długich godzin przesiedzianych w Bunkrze. Mówiliśmy o planach na przyszłość – ten temat zawsze tchnie optymizmem; bez bagażu doświadczenia czy domysłów spoglądaliśmy w przyszłość niczym w stojący przed nami otworem przyjazny świat, w który wkroczymy z pełną świadomością. Gdyby życie naprawdę tak wyglądało, byłoby znacznie łatwiej i – jak podejrzewam – nudno.

Iluzja posiadania wolnej woli to w istocie jedynie odbicie naszej niewiedzy co do przyszłości. Ośmieszamy się zakładając, że przyszłość spoczywa w naszych rękach i podlega naszym kaprysom, łudząc się, że prędzej czy później dostąpimy wtajemniczenia. Z dnia na dzień nie zmienia się nic oprócz punktu widzenia. Wędrując wzdłuż prostej, której doświadczamy jako czas, postrzegamy sprawę coraz to inaczej. Ale jakie to ma znaczenie?

Nie sądzę, by kiedykolwiek udało się nam wejrzeć w przyszłość.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak odbieram świat, dopóki Martyn mnie nie zmusił – Martyn i reszta ludzi w Bunkrze. Takie analityczne podejście do życia szybko

wchodzi w krew – rejestruje się każdy komentarz i przypuszczenie, każdy przejaw uprzedzenia i krytyczną uwagę, a potem analizuje z drobiazgową dokładnością. Bardzo zdrowy nawyk, owszem, zarazem jednak ogromnie uciążliwy, nie mówiąc już o tym, że wyrobienie go w sobie okupuje się cierpieniem.

A teraz kilka słów na temat tego, co dzieje się tu i teraz: kiedy odkładam notatnik, żeby dać odpocząć palcom, albo schodzę na dół po coś do jedzenia czy picia, wspomnienie Bunkra traci ostrość, natomiast sprawy codzienne odzyskują właściwą im wagę. Lecz kiedy siedzę tu, na poddaszu, tamte chwile wracają do mnie ze zdwojoną siłą: zapisując wszystko raz jeszcze, czuję, jak rosną i pęcznieją, wypełniając stopniowo pokój.

W miarę jak schnący atrament na dobre utrwała te słowa, do moich uszu dolatuje skądś odgłos zatraskiwanej bramy garażu, z kuchni, gdzie przesiaduje moja matka, sączy się ciche pobrzękiwanie radia. Wieczorna bryza wpada do pokoju przez na wpół otwarte okno, z którego widać rozświetlone blaskiem zachodzącego słońca korony drzew. Zbliża się długi letni wieczór, trawa błękitnieje w zapadającym zmierzchu. Z mojego okna widać skłębione wysoko na niebie ornamenty chmur. W takiej chwili wspomnienie tamtych wydarzeń wydaje się tak odległe, że mogłoby należeć do kogoś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ 5

Dzień trzeci: ostatni dzień w Bunkrze.

– Ech, miłe w sumie kąty – westchnął Mike w porze obiadu, poklepując ścianę za swoimi plecami. – Będę tęsknił za tym miejscem, to pewne.

– Siedzę tu już tak długo, że praktycznie skamieniałam – utyskiwała Alex.

Frankie leżała na brzuchu, machając nogami w powietrzu. Pogrzebawszy chwilę w kieszeni zmiętej bluzy, triumfalnym gestem wyciągnęła jakąś grudkę.

– Ha!... resztko moich łakoci – zaszczebiotała rozradowana. – Wiedziałam, że gdzieś tu jest.

– Chryste, Frankie! – wykrzyknął zdumiony Geoff. – Ta twoja łakość zrobiła się podejrzanie szara.

Zerknęła na grudkę z niedowierzaniem.

– Co ty?... Jest gruszkowa.

– Faj – skrzywił się Mike. – Nie powiem, żeby to wyglądało apetycznie.

– Słyszeliście? – Geoff rozejrzał się wkoło. – Mike'owi nie podoba się łakość Frankie.

Nie dość, że szara, to jeszcze może nadpsuta.

– Chłoptaş przesadnie dba o ząbki – powiedziała Alex z uśmiechem.

Mike rozdziawił szeroko usta.

– Proszę bardzo, żadnych plomb – wymamrotał.

– No, no, to się nazywa troska o uzębienie – dorzucił kpiąco Geoff.

Lunch, który ugotowali dość późno na resztkach gazu z ostatniej butli, składał się z mięsnych klopsików z puszki i przeróżnych resztek wygrzebanych z plecaków. Jedli rozmawiając i wydawało się, że mają sobie wiele do powiedzenia.

O trzeciej Geoff podniósł rękę.

– Czy ktoś ma jeszcze cokolwiek do picia?

– Mm, ja chyba mam trochę lemoniady – odezwała się Liz.

Geoff spojrział na nią z ukosa.

– Myślałem o czymś z procentami – wyjaśnił.

– Aa, to co innego – pokręciła głową.

Nikomu nie zostało już ani kropli. Geoff sięgnął za siebie i zza opartego o ścianę plecaka wyciągnął butelkę wódki i połówkę cytryny.

– Zachowałem ją na czarną godzinę – ogłosił. – Urządzimy tej butelczynie wieczorek pożegnalny, co?

Mike wznosił oczy ku niebu.

– Ten kutafon pomyślał nawet o cytrynie. Picie to chyba twoje powołanie, co?

– Raczej sztuka – odparł Geoff tonem mędrca.

– Powołanie to ty dostaniesz, ale do wojska – zachichotała Alex.

– Ha – odrzekł z udawanym przygnębieniem Mike – toż to brzytwa, nie kobieta.

Wódka została zmieszana z lemoniadą Liz i rozlana do plastikowych kubków.

– O, cześć – przywitał się.

Siedziałam na starej ławce pod arkadami. Szkolny minibus z kompletem entuzjastycznych wycieczkowiczów na pokładzie wyruszył w drogę prawie godzinę wcześniej. Patrzyłam, jak odjeżdżał z asfaltowego placu przed halą do krykieta.

Martyn poróżwiał. Mój widok najwyraźniej go zaskoczył. Zostawił pokaźnych rozmiarów torbę przy jednym z filarów i podszedł do ławki, na której siedziałam.

– Przyszłaś wcześniej. Umawialiśmy się przecież na piątą.

– Zaczęłaś już odliczanie?

– Nie jestem aż tak nawiedzony – odparł. – Co robiłaś?

– Właśnie odprowadziłam wycieczkę – wyjaśniłam.

Jego reakcja była niepokojąco gwałtowna. Stał w miejscu, a przez twarz przemknął mu wyraz zmieszania i gniewu, w końcu zaś spytał pospiesznie:

– Widzieli cię?

– Oczywiście, że nie.

– Jesteś pewna?

– No jasne. Nie ruszałam się stąd.

Odniosłam wrażenie, że odetchnął z ulgą.

– To dobrze. Byłoby źle, gdyby ktoś cię tu zobaczył. Wszystko byś dokładnie spieprzyła.

– Wiem – przytaknęłam – i dlatego się nie pokazywałam.

Jego twarz rozjaśnił z wolna uśmiech.

– Świetnie. Taak, chcemy przecież utrzymać w tajemnicy nasz projekcik. Po co Carter albo Arkwright mieliby wtykać nos w moje plany?

– A co zaplanowałeś?

Zaśmiał się tylko.

– Pożyjemy, zobaczymy, jak mawiały nasze babcie. – Usiadł na ławce, wyciągając przed siebie nogi. Pasma jasnych włosów zasłoniło mu jedno oko, więc dmuchnął, podrywając je w górę.

– Prawdę mówiąc, Carter nie zwraca uwagi na nic, co robię – stwierdził. – W pewnym sensie to nawet trochę wkurzające, że mnie nigdy nie podejrzewa. Zawsze się czepia główniarzerii z młodszych klas. Przyzwyczajenie jest wprawdzie drugą naturą, ale w jego przypadku to już przesada.

– Co masz na myśli?

– Poczciwina nadal sądzi, że trudna młodzież nosi wyświechtane skórzane katany, popała po kątach i gada na lekcji. A tacy jak oni w podstawówce zajmowali się głównie pluciem z lufek w sufit. Podejście Cartera mogło się sprawdzać, ale trzydzieści lat temu.

– Więc zaliczasz siebie do nowej generacji szkolnych buntowników?

Wzruszył ramionami ze śmiechem.

– Buntownik doskonały jest jak sprawca zbrodni doskonałej. Nikt go nie podejrzewa, bo odrabia lekcje, pisze na czas wypracowania, kłania się komu trzeba i nigdy nie daje się przyłapać. Właśnie tak jest ze mną, a poczciwina Carter bierze mnie za cudowne dziecko. Tak, cudowne dziecko w schludnych spodenkach z kantem.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Ale przecież cała szkoła o tobie wie – zauważyłam.

– Och, daleko mi jeszcze do buntownika doskonałego – stwierdził wymijająco. – Chyba się zgodzisz, że w moim przypadku to tylko hobby?

– No – przytaknęłam nieco zbita z tropu. To był żart, ale Martynowi nie było do śmiechu. – Więc jaka powinna być zbrodnia doskonała?

Zmarszczył brwi, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał. Wreszcie odparł:

– To taka zbrodnia, o której nikt się nie dowiaduje.

– Też tak sędzę – zgodziłam się.

Z perspektywy czasu dostrzegam w tym miejscu jego błąd – to nieznaczące potknięcie umknęło wtedy mojej uwadze. Teraz widzę, że zastanawiał się o moment za długo. Odpowiedź była poprawna, tak właśnie powinna zabrzmieć, ale Martyn był zbyt inteligentny, by myśleć nad nią choćby przez chwilę. Te kilka sekund namysłu było grą, bo odpowiedź

znał dużo wcześniej, niż usłyszał moje pytanie.

– Odnoszę wrażenie – ciągnął – że ludzie pokroju Cartera nie potrafią dostrzec prawdopodobieństwa zdarzenia, jeśli nie słyszeli o nim wcześniej. Carter lubi nam przypominać, że trzyma rękę na pulsie szkoły. W końcu pracuje tu od trzydziestu lat, wie lepiej. Ale kiedy coś wychodzi na jaw, nie sposób znaleźć winnego. Co wtedy robi poczciwy Carter? To samo co nasz nieoceniony Arkwright czy nawet stary Gibbon, niech spoczywa w pokoju, czyli nic, bo nawet mu nie zaświta, że może być inne rozwiązanie. To naprawdę smutne.

– Więc jakiej rady udzieliłbyś przyszłemu buntownikowi?

– Działaj z rozmachem – odpowiedział natychmiast. – Za drobne numery wylatuje się ze szkoły.

– Masz na myśli taki rozmach jak w wypadku przemówienia na koniec semestru?

– Właśnie. To także kwestia osobowości delikwenta. Wiedziałem, że Arkwright nie będzie szukał winnego, bo wszczynając śledztwo przyznałby, że w zakamuflowanej wzmiance o owcach była szczypta prawdy.

– Powstańcie wszyscy, którzy próbujecie ubliżyć panu Law – zażartowałam.

– A żebyś wiedziała, więc potraktował to jako żart i zbył śmiechem. Kto wie? Może nawet nie zorientował się, że chodziło o wicedyra. A może ta historia ubawiła starego piernika? W końcu nie pierwszy raz zdarzyło się w Naszej Wspaniałej Szkole coś, czego nie umiał rozwikłać – mówił głosem pełnym chłodnej pogardy i satysfakcji.

– Żal mi uniwerku, do którego trafisz – powiedziałam z uśmiechem.

– Och, nie przesadzaj – odrzekł starannie wypracowanym lekkim tonem. – Myślę, że tego rodzaju żarty wychodzą powoli z mody.

– Nadszedł czas na zmiany?

– Ano nadszedł.

Zawahałam się przez moment.

– Więc czym jest pomysł z Bunkrem?

– Ach, to nie żart, wręcz przeciwnie. Nie mówiłem już o tym? To raczej eksperyment...

– ...z rzeczywistością – dokończyłam za niego. – Owszem, wspominałeś.

– Tak, to będzie coś ciut innego.

Oboje podnieśliśmy głowy na dźwięk kroków. Zza rogu wyłonił się Geoff.

– Cześć, zabawę czas zacząć, co?

– Mam nadzieję, że przygotowałaś się jak należy – rzucił Martyn.

- Widzę, że nie doszły do ciebie żadne plotki – odparł Geoff. – Co masz w tej torbie?
- Drabinkę linową – odrzekł. – To integralna część naszej małej przygody.
- To mi pachnie perwersją – ucieszył się Geoff.

O czwartej, godzinę przed końcem eksperymentu w Bunkrze, atmosfera wyczuwalnie zelżała. Mając w żołądku znacznie więcej alkoholowej niespodzianki Geoffa, niż planował, Mike siedział w obłoczku szczęśliwości, który zdawał się spowijać wszystko dookoła. Wódka zmieszana z lemoniadą smakuje jak lemoniada. Wypiwszy cztery kubki tej mikstury, wychylał już piątą, dotrzymując kroku Geoffowi i Frankie. Tak czy owak, przekonywał się w duchu, za godzinę będzie po wszystkim. Na myśl o dość ryzykownej w jego stanie wspinaczce po drabince linowej skrzywił się z niesmakiem.

Nagle zorientował się, że Alex coś do niego mówi, uśmiechając się szeroko.

- Mikey, wyglądasz na zupełnie zalanego – zauważyła.
- Naprawdę?
- Uhm.
- Przez grzeczność nie zaprzeczę. Po czym poznałaś?
- Masz taki dziwaczny wyraz twarzy, jakby na bakier.

Mike spróbował przybrać minę pełną dezaprobaty.

- Chyba ci padło na wzrok.
- Bardzo możliwe. – Alex zachichotała radośnie, godząc się bez protestu.
- A które z nas jest najsmaczniejszym kąskiem? – wydarła się Frankie.
- O czym ty, do kurwy nędzy, bredzisz? – Geoff zmarszczył brwi.
- O smakowitych kąskach – wyjaśniła. – Mike to na przykład niezły kasek, Alex też.

Frankie to niezwykle apetyczny kasek. Ale kto jest najbardziej kuszący?

- Czyś ty przypadkiem nie upadła ostatnio na głowę? – zaniepokoiła się Alex.
- Lepiej nie pytaj – życzliwie poradził jej Mike.
- Niniejszym protestuję przeciw określeniu „niezły kasek”. Jest cholernie wkurzające

– perorował Geoff.

- Według mnie Liz jest niezłym kąskiem – zignorował kolegę Mike.
- Dzięki – odezwała się Liz. – Po czym poznać „niezły kasek”?

Mike zamyślił się na dłuższą chwilę.

- Zgrabne nogi i żądza przygód to podstawa – wyręczył go Geoff.
- Owszem, ale jeśli chodzi o niezłą dupę – zaprotestował Mike i dorzucił: – Ha, ha, ha!

Żartowałem!

– Hej, Geoff, mój pies ma zgrabne nogi i jest żądny przygód – zachichotała Alex. – No to mamy jasność, jakie laski cię kręcą.

– Ona mnie znowu obraża – poskarżył się Geoff.

– A czy mój żarcik nie był za mocny? – spytał Mike.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie było aż tak źle – pocieszyła go bez przekonania Liz.

Mam przed sobą słoik wypełniony ołówkami i długopisami. Często zastanawiam się, dlaczego nadal mieszkamy w tym ogromnym schowanym między drzewami domu z dala od miasteczka. Jakies pięćset jardów stąd pobliski lasek przecina rzeka. Bardzo ją lubię. Wczoraj, po drodze do alei kasztanowej, znowu tam zaszłam. Ale nasz dom budzi we mnie mieszane uczucia. Tylko ja rzecz jasna bywam na piętrze i poddaszu; upodobniły się do mnie w ten przedziwny sposób, w który wnętrza przejmują cechy zamieszkujących je osób. Położony na tyłach kuchni pokój mojej matki jest błękitny, świeży i schludny; na ścianach wiszą akwarele, a parapet ozdabia samotny smukły wazon. Mój pokój to mieszanina brązów i ochry, kolorów jesieni, które w promieniach słońca ozywają ognistym blaskiem. Pod ścianami zgromadziłam różne fragmenty swojej przeszłości poupychane w pudełka po butach i w starannie związane plastikowe torby. Widok z okna jest zupełnie inny niż z poddasza. Siedząc na łóżku, widzę rosnące wzdłuż rzeki drzewa i absolutnie żadnego budynku.

Na tamtym spacerze spotkałam kogoś, z kim – jak mi się zdaje – bardzo długo się nie widziałam.

– Och, cześć – wyjąkała.

Ciekawe, jak łatwo stajemy się sobie obcy.

– Cześć, Alex – odrzekłam.

– Spacerujesz?

Uśmiechnęłam się lekko.

– Na to wygląda – przytaknęłam. Ni stąd, ni zowąd zrobiło mi się jej strasznie żal. Stała zmieszana i nie wiedziała, co powiedzieć, mając przed sobą osobę, wobec której czuła wdzięczność, ale i strach. – Chodź, napijemy się coli, pogadamy – zaproponowałam.

– O czym? – spytała pospiesznie.

– Na przykład o tym, co ostatnio porabiasz. Dawnośmy się nie widziały.

Odetchnęła z ulgą, twarz jej pojaśniała.

– Chętnie. Czy to nie wózek z lodami tam, na parkingu?

– Tak, to Jim. Zawsze tam stoi o tej porze.

Poszłam kupić dwie cole, potem usiadłyśmy w cieniu starego rozłożystego buka.

– Więc?

– Czy ja wiem? – Była teraz znacznie swobodniejsza. – Chyba się wkrótce przeprowadzimy.

– Szkoda – odparłam. – Wiesz, że będziemy za tobą tęsknić.

Zaśmiała się bez przekonania.

– No, ja też. Ale nie przejmuję się zbytnio przeprowadzką. Mało co mnie tu jeszcze trzyma. Jak spojrzeć na to miejsce z zewnątrz, człowiek sobie uświadamia, że tak naprawdę to zapyziała dziura. Nie będzie mi żal.

Łączące nas przeżycia z Bunkra wisiały nad tą rozmową niczym duch, a każde wypowiedane słowo nosiło piętno jego obecności. Nie sposób cofnąć czasu: co się stało, to się nie odstanie. Nie trwało długo, a rozeszliśmy się pod byle pretekstem, dopełniając skrupulatnie rytualnej wymiany zwyczajowych grzeczności.

Przez ułamek sekundy, nie zważając na obecność pchających dziecięce wózki umęczonych matek i otyłych łysiejących typów, miałam ochotę krzyknąć za nią: „Hej, przecież uratowałam ci życie! Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?”

Ale zaraz potem bardzo się zawstydziłam.

– Która godzina? – spytała Alex.

– Najwyższa pora na repetę – odparł Geoff. – To już ostatki, moi drodzy, więc smakujcie każdą kroplę.

– Tak jest – podchwycił radośnie Mike. Czuł się przyjemnie rozluźniony. Na dobrą sprawę, zreflektował się leniwie, jest bliski głupawki. Głupawka to ulubione określenie Geoffa: „Dostałem głupawki i spadłem z roweru” albo „Dostałem wczoraj głupawki i zrobiłem z siebie idiotę”. Mike zdecydował, że głupawka mogłaby być całkiem przyjemna.

– Nie świruj, Mikey – odezwała się Alex. – Pijesz dziś za dwóch.

– Oo, odezwało się moje sumienie – błaznował Mike. – Niesamowite, ale z niego ten... no... – niezależny byt. Ekstrasumienie.

– Patrzcie, jak mu się język rozwiązał – zauważyła Frankie.

– Mike to duży chłopczyk i wie, co robi – czknął Geoff.

– No to która godzina? – dopytywała się z uporem Alex.

– Za kwadrans szósta – rzucił Geoff. – A jeśli spojrzeć z drugiej strony, to prawie dziewiąta. A gdyby obrócić jeszcze inaczej, to... hm... nie bardzo widać, bo wszystko stanęło na głowie.

– Martyn się spóźnia – stwierdziła Liz.

– Kto powiedział, że przyjdzie punktualnie o piątej? – wymamrotał Mike. Spóźnienie Martyna nie wydawało mu się godne uwagi. – Kto powiedział, że to będą dokładnie trzy dni? Jeszcze trochę i się zjawi. Mogło mu coś przecież wypaść – dodał.

– Powinien przyjść o piątej – upierała się Alex. – Zeszliśmy tu o piątej.

– Pewnie Martyn wcina kolację – skwitowała Frankie.

– Święte słowa – podchwycił Mike. – Mam straszną ochotę na curry. Może byśmy zrobili curry albo coś w tym guście.

– Obawiam się, że zostało tylko to drugie – zafrasował się Geoff.

– Mam jeszcze batoniki czekoladowe i paczkę spaghetti, które wystarczy zalać gorącą wodą – zaofiarowała się Alex.

– Nieważne – mruknął Mike. – Już nieważne.

A czas płynął.

Nie pamiętam, kto pierwszy się odezwał, ale ktoś musiał powiedzieć głośno to, co i tak już wszyscy po cichu przeczuwali.

– Martyn nie przyjdzie, prawda? – wyszeptwała Alex.

To nawet nie było pytanie. Ni stąd, ni zowąd spłynęła na nas pewność i niewiele można już było zrobić, żeby się jej pozbyć. Niemniej pełna świadomość tego faktu rodziła się w nas powoli: z początku wiedzieliśmy tylko, że Martyn się spóźnia. Nie wybiegaliśmy myślami dalej. Myślę, że spodziewaliśmy się go z samego rana następnego dnia, kiedy już upora się z tym, co go najwyraźniej zatrzymało.

Potem kilkorgu z nas przyszło do głowy, że to teatralna sztuczka Martyna, że o ten właśnie żart chodzi w całej naszej eskapadzie. Ci, którzy na to wpadli, czuli wyraźne zadowolenie, że z taką łatwością przejrzeni wydawałoby się prościutki i dość oczywisty wygłup kończący eksperyment w Bunkrze.

A gdy przyszła pora na sen, zasnęliśmy. Zapadając w sen, człowiek pogrąża się w przedziwnym wymiarze: bariery, które wznosimy wokół siebie za dnia, znikają; bez ograniczeń możemy doświadczać nawet tych lęków i fantazji, które nie mają do nas dostępu na jawie. Tej nocy w nasze sny wkradły się niepostrzeżenie wątpliwości, a wraz z nimi pierwotny strach przed ciemnością.

Nie pamiętam, o czym śniłam – podobnie jak wielu ludzi przedtem i potem. Może w tym śnie byłam szczęśliwa i beztroska? Nie wiem. Pamiętam jednak, że długo nie mogłam zasnąć i że przez cały ten czas ciemności Bunkra przeszywały z rzadka krzyki moich

nękanych koszmarami kolegów.

ROZDZIAŁ 6

Tego dnia skończyłam pisać późnym popołudniem i ułożywszy notatniki w zgrabny stosik, zamknęłam okno. Był to jeden z tych upalnych, leniwych dni, kiedy ludzie chętnie wskakują do wody albo przesiadują w cieniu drzew, sącząc z wysokich szklanek chłodne napoje. Lato w Anglii to oderwana od rzeczywistości pora roku, której wyobrażenie wynosi się na ogół z literatury. Kiedy nadchodzi – pod warunkiem że w ogóle ma to miejsce – sprawia, że błahostki codziennej krzątanimy rozmywają się w rozedrganym od upału powietrzu.

Zamknęłam drzwi, zostawiając za nimi wspomnienia z Bunkra, i wyszłam na zalany słońcem podjazd. Poczułam, jak z wolna otula mnie lepki i gęsty oddech popołudnia. Oddalając się od miasteczka, podążyłam łagodnym łukiem szerokiej drogi ku porośniętemu kasztanowcami i bukami laskowi, który okala od frontu Naszą Wspaniałą Szkołę. O tej porze roku klasy świecą pustkami, na meblach osiada pomieszany z drobinkami kredy kurz, a w powietrzu wyczuwa się chłodny zapach kamiennej posadzki.

Właśnie wybiła piąta. Mike czekał już pod arkadami, ale nie patrzył w moją stronę. Ciemnowłosa, smukły, miał na sobie sfatygowaną marynarkę, która zupełnie do niego nie pasowała. Uśmiechając się z rozrzewnieniem, podkradłam się do niego od tyłu.

– Cześć – powiedział, odwracając się.

– Myślałam, że mnie nie słyszałeś – zdziwiłam się. – Cześć.

– Ładnie wyglądasz. Fajnie, że przyszaś. Nie widzimy się tak często, jak bym chciał.

– Chcesz przez to powiedzieć, że masz ochotę na częstsze spotkania?

– Pewnie. Jak ci idzie pisanie?

– Wolno. Ale postawię ostatnią kropkę, zanim skończy się lato. Taką mam przynajmniej nadzieję.

– To dobrze – rzekł z przekonaniem. – Nie wiem, jak nazwać to, nad czym pracujesz. Opowieścią?... Brzmi zbyt niewinnie. Studium psychiki Martyna?... Zgodziłabyś się na taki tytuł?

– Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – Piszę nie tylko o nim. On stanowi zaledwie część tej historii.

– Ale najważniejszą.

– Być może – zgodziłam się z uśmiechem – chociaż zdarzyło się o wiele więcej.

– To prawda.

Minąwszy szopę dozorczy i halę do krykieta, poszliśmy w stronę lasu. Próbowałam sobie wyobrazić, że jestem sama i właśnie opuściłam Bunkier, zamknąwszy w nim pięć osób. Wiem, co robię, i wiem, jaki los je spotka. Kim czyni mnie ten postępek? Być może psychopatką. Słowo to wydaje się jednak zbyt drastyczne, by precyzyjnie określić przypadek Martyna. On był raczej jak genialny naukowiec, który pochylając się nad żyjątkami uwięzionymi w owalu laboratoryjnego naczynka, za nic ma problemy ich świata. Wie, że zginą, ale niewiele go to obchodzi; będzie obserwować jak walczą o przetrwanie i umierają w boleściach, aby poczynić naukowe obserwacje. Przecież to tylko mikroskopijne organizmy. Utrata takiego stworzonka niewiele znaczy, nie sposób jej porównać do straty człowieka. Dla Martyna wszakże liczyła się wyłącznie jedna osoba. W swoim wszechświecie był kompletnie samotny.

– Chcę pojechać do Stanów – mówił Mike. – Zawsze o tym marzyłem.

– Mogę jechać z tobą? – spytałam.

– Miałem nadzieję, że to zaproponujesz.

– Poważnie? Naprawdę chcesz się wybrać do Stanów?

– Tak, już wkrótce, jeszcze zanim zacznę studia. Moglibyśmy zarobić trochę grosza, a potem poszwendać się po kraju.

– Co byśmy tam mieli robić?

– A jakie to ma znaczenie? – westchnął Mike. – Jeśli będziesz miała ochotę, opisziesz nasze przygody. Czy wszystko musi mieć zawsze powód?

– Ja cię chyba rzeczywiście kocham, co?

– To ma być pytanie retoryczne? Jasne, chociaż nie mam pewności, czy jestem dzięki temu zupełnie bezpieczny, skoro pod wieloma względami tak bardzo przypominasz Martyna.

Tym razem ja westchnęłam.

– Prawda, coś w tym jest. Intryga była przednia: dzięki mojemu podstępowi zdołaliśmy się wydostać z Bunkra.

– Rzeczywiście, numer pierwsza klasa – zgodził się Mike. – Martyn do samego końca niczego nie podejrzewał.

– Mógł mnie przejrzeć, gdyby nie ta jego chorobliwa pewność siebie – zauważyłam.

– Jak to?

– Gdyby mu przyszło do głowy, że jego plan może mieć jakieś braki, to chyba nie kupiłby mojego blefu. Ale on nie brał pod uwagę takiej możliwości. Nawet mu nie zaświtało, że znajdę jakiś haczyk, więc dał się nabrać jak dziecko.

Mike uśmiechnął się niepewnie.

– To brzmi dość przekonująco.

– Martyn nie widział w nas zagrożenia. No bo czy Bóg... wybacz porównanie... obawia się, że zginie z rąk swojego stworzenia?

– Za dużo ostatnimi czasy widziałem, żeby się czegokolwiek spodziewać po Bogu – odrzekł Mike. – To chyba oznaka mądrości.

– Co? Z powodu nadmiaru doświadczeń nie potrafisz określić własnego zdania i to ma być mądrość?

– Nie o to mi chodzi.

– Wiem.

– A gdzie teraz jest nasz... pseudobóg?

– Zniknął.

– Miejmy nadzieję, że na dobre.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – odparłam. Miałam wrażenie, że to by było za proste.

– To znaczy? Chyba nie sądzisz, że wróci, aby się zemścić?

– Nie, myślę, że z nami już skończył. Ale to nie znaczy, że wyparował. Pewnego dnia jeszcze o nim usłyszymy.

– Ha! Teraz przynajmniej dzieli nas dobrych parę kilometrów. – Mike odetchnął z ulgą.

– Tak sądzisz? Wątpię. Żadna odległość nie jest wystarczająco bezpieczna. Kaprysy bogów jakoś w ogóle nie kojarzą mi się z bezpieczeństwem. – Ostrożnie przekroczyłam wystający korzeń. – Ja w każdym razie będę się miała przed nim na baczności. Chyba powinniście wziąć ze mnie przykład.

Doszliśmy na skraj lasu, gdzie w cieniu nakrapianym plamkami słońca uganiały się z głośnym bzyczeniem chmary owadów. Mike z westchnieniem opuścił rękawy.

– Martwi mnie, że dostał od nas nauczkę. Następnym razem lepiej się przygotuje.

– Masz rację – zgodziłam się. – Mnie to też nie daje spokoju, ale co mogliśmy jeszcze zrobić?

– Może trzeba było pójść z tym na policję – zastanawiał się Mike. – Przecież to

morderca, prawda?

– Niezupełnie – zauważyłam. Powoli docierała do mnie ironia sytuacji. – To tylko uczeń, który dał się wplątać w głupie figle. Nikomu nic się nie stało, tak? Nie ma ofiar, więc jak tu mówić o morderstwie? Wszystkie trupy kręcą się po okolicy i mają się zadziwiająco dobrze.

Mike otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w porę się zreflektował.

– Masz rację, wiem, że by nas wyśmiali – przyznał. Po chwili jednak zmienił najwyraźniej zdanie, bo dodał: – Ale przecież to wariat. Myślisz, że by tego nie zauważyli?

Wokół nas wibrowało ciepłe powietrze bijące od nagranych koron drzew. Odwróciłam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Skoro nawet my tego nie zauważyliśmy? – przypominałam. – Żeby się przekonać, musieliby przeżyć z nami Bunkier... Martyn to przecież najzupełniej normalny facet: bystry, elokwentny, charyzmatyczny. A że akurat ma się za boga, a ludzi traktuje jak zwykłe pionki...

– Koszmar – podsumował Mike bez cienia emocji.

– Mógł wiele osiągnąć – zamyśliłam się na chwilę. – Nadal chyba może. Wiesz, co Carter napisał na jego świadectwie na koniec zeszłego semestru? „Jestem głęboko przekonany, że Martyn w pełni wykorzysta swoje rozliczne talenty. Czekam go bez wątpienia wspaniała przyszłość” – chichotałam. – Myślisz, że Hitler zbierał podobne cenzurki?

– To nie jest śmieszne – uciął Mike.

– Wiem i dlatego właśnie się śmieję. Hej, ponuraku, nie bierzmy tego zbyt serio, co?

Przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu, potem uśmiechnął się szeroko.

– Wariatka – mówiąc to, pochylił się i niespiesznie mnie pocałował.

Zacisnęłam dłonie na fałdach jego marynarki i przytuliwszy go ze wszystkich sił, bardzo długo trwałam w bezruchu.

Potem poszliśmy dalej. W miejscu gdzie strumień wije się zakolami pośród drzew, przeprawiliśmy się na drugą stronę. Wkrótce dotarliśmy do ścieżki, która przecina główną szosę. Zostawiliśmy z tyłu górujące ponad drzewami iglice głównego gmachu Naszej Wspaniałej Szkoły. Na tle rozbuchanej zieloności lasu wydawały się szare i mniejsze niż zwykle. Zbliżywszy się do miasteczka, skierowaliśmy kroki do Horsemana, gdzie stoliki ogródka piwnego zajmowali pierwsi tego wieczoru goście.

– Co ci zamówić? – spytał Mike, kiedy usiedliśmy.

– Cokolwiek.

Mike poprosił o piwo i sok pomarańczowy, a barman wykoncypował oczywiście, że piwo jest dla mężczyzny. Zamieniwszy szklanki, wyszliśmy na zewnątrz.

– Wypijmy więc za morderców – zaproponował Mike.

Słońce gasło powoli, a my sącząc niespiesznie napoje, siedzieliśmy w milczeniu.

Mike obudził się bez tchu. Miał wrażenie, że przygniata go jakiś ogromny ciężar, który ustąpił dopiero, kiedy usiadł, chwytając łapczywie powietrze. Koszmar odpłynął, zostawiając go na pastwę ciszy Bunkra. Niewyraźne strzępy snu błąkały się jeszcze w odległych zakamarkach jego pamięci, ale nie potrafił spoić ich w jedno. Powoli wracał do siebie.

To już chyba dzień numer cztery, dzień, którego nadejścia nikt nie przewidywał. Mike posłał w ciemność gorzki uśmiech; można się było czegoś takiego po Martynie spodziewać. Uśmiech gasł na jego ustach, w miarę jak opuszczającą go senność zastępowały mdłości. Przez chwilę wyobrażał sobie, że poważnie zachorował i schwytyany w pułapkę wyglądu Martyna tkwi w Bunkrze bez możliwości wezwania pomocy. W tym samym niemal momencie przypomniał sobie jednak, ile wypił poprzedniego wieczoru. Te koszmarne skurcze żołądka to nic innego jak kac. Ta myśl nieco go uspokoiła.

Zastanawiając się, czy wstał już dzień, czy może jest środek nocy, powiódł wzrokiem po pustym niebie Bunkra w poszukiwaniu szarej gwiazdki, którą odkryła Liz. Niepozorny punkcik przytłumionego światła tkwił w tym samym miejscu, gdzie ostatnio udało mu się go wypatrzeć. Szkoda, że nie jest jaśniejsza, pomyślał. Ale drzwi Bunkra znajdowały się w końcu krótkiego korytarza, promienie słońca nigdy więc nie padały bezpośrednio na dziurkę od klucza.

– Mike? – usłyszał głos Geoffa.

– Tak?

– Która godzina? Może pora już wstawać?

– Nie wiem, ale na dworze jest widno.

– Cholera jasna. – Przez chwilę było cicho, po czym Mike usłyszał, jak Geoff zmienia pozycję w śpiworze. – Lepiej będzie, jak zapalimy światło.

– Okej.

Żarówka rozbłysła z suchym kliknięciem, a nagłe natarcie oślepiającej jasności sprawiło, że Mike aż podskoczył. Rytmiczne pulsowanie w jego skroniach zaczęło spełzać ku podstawie czaszki.

– Ja pierdołę. Wyglądasz jak zjawa – zauważył Geoff uprzejmie.

– Czuję się, jakby miało mi rozsadzić czaszkę.

– Musisz łyknąć wody.

Alex z trudem podniosła się do pozycji siedzącej.

– Co się dzieje?

– Czas wstawać – oznajmił Geoff. – No, niezupełnie. Jest wpół do ósmej.

– Nadal tu tkwimy – wymamrotała Frankie. – Miałam nadzieję, że to tylko zły sen i obudzę się w domu.

– Akurat – prychnął Geoff. – Mówię całkiem poważnie, Mike. Napijże się wody, to poczujesz się o niebo lepiej.

– Może i masz rację – stęknął Mike. Podniósł się z trudem i chwiejnym krokiem ruszył do toalety. Odkręcił kurek i nabrawszy wody w złożone dłonie, ochlapał sobie szyję i twarz, a potem pociągnął siedem czy osiem łyków. Woda była zimna i zostawiała na języku dziwny posmak. Gdzieś pod posadzką zamruczał odgłos spływających ścieków, a jego niewyraźne echo wróciło przez okratowany spływ w podłodze. Wyprostował się i potrząsnął energicznie głową.

Kiedy wrócił do głównego pomieszczenia, nikt już nie spał. Rozmowa szybko zesłała na Martyna.

– Sytuacja robi się cholernie zabawna – odezwała się Frankie. – Znam ciekawsze zajęcia niż tkwienie w tej norze. A poza tym moi starzy wpadną w szal, jeśli nie wrócę na czas.

– Być może, ale zaczną się martwić nie wcześniej niż za tydzień – zauważył Geoff.

Frankie umilkła zaskoczona.

– Nie pomyślałam o tym – powiedziała cicho. Wyglądała na kompletnie zbitą z tropu.

– Gdzie on jest? – niecierpliwiła idę Alex. – Zaczyna przesadzać. Jak dotąd było całkiem zabawnie, ale teraz to już dziecinada.

– Najprawdopodobniej chce się tylko przekonać, jak zareagujemy – rzucił z nutą nonszalancji Geoff. – Dałbym głowę, że to część eksperymentu, którą omówimy szczegółowo na tej, no...

– Na odprawie – przypomniała Alex. – Przynajmniej tak to nazwał.

– Mike zabójczo dziś wygląda – orzekła Frankie. – Że też wcześniej nie zauważyłam. Istny cukiereczek.

– Wielkie dzięki – odparł kpiąco. – Ty to wiesz, jak podnieść na duchu cierpiącego.

– Wszystko w porządku? – spytała Liz tonem, w którym Mike ku swemu zadowoleniu usłyszał nutę szczerzego zaniepokojenia.

– Przesadziłem wczoraj z mieszanką wybuchową Geoffa, ale jakoś przeżyję.

– Mam parę tabletek paracetamolu. Proszę.

Mike uniósł sceptycznie brew, ale wziął od Liz pudełko z lekiem.

– Skąd je wytrzasnęłaś?
– Po prostu pomyślałam, że mogą się przydać.
– A nie masz przypadkiem w tym plecaku drabinki długiej na dwanaście stóp i łomu?
– wtrącił się Geoff. – Jak masz, to nie czekaj, aż zaczniemy skamleć. Moglibyśmy się raz-dwa wydostać.

Nikt się nie roześmiał. Potem odezwała się Alex:

– Mam! – Reszta grupy spojrzała na nią pytająco. – Wiem, czemu jeszcze go tu nie ma – wyjaśniła. – To proste. Wszyscy się chyba zgodzą, że kretyńskie zagrania nie są w jego stylu. Coś takiego mógłby wymyślić sześciolatek: zamyka kolegę w szafie i ani myśli otworzyć. Dobrze mówię?

– Powiedzmy – zgodził się ostrożnie Geoff. – I co dalej?

– Na początku plan był taki – ciągnęła Alex – że siedzimy tu przez trzy dni, a resztę tygodnia, póki wycieczka nie wróci, spędzamy u Martyna i omawiamy to, co się działo: jak udało się nam lepiej poznać i tym podobne historie. A jeśli z jakiegoś powodu Martyn nie może nas zadekować u siebie? Mogło mu wypaść coś całkiem prozaicznego, na przykład ktoś do niego przyjechał. Założę się, że tak jest. Po prostu czeka na odpowiedni moment, żeby nas wypuścić nie budząc podejrzeń.

Geoff zamyślił się na dłuższą chwilę.

– To się trzyma kupy – przyznał. – Prawdopodobnie ma ważny powód. Nie chce mi się wierzyć, żeby Martyn zostawił nas tu ot tak, dla żartu.

– Jego numery nigdy nie były głupie – przyznała Frankie.

– No to szafa gra – stwierdził Mike. – Trochę tu jeszcze posiedzimy i tyle.

– Nic innego nam chyba nie pozostaje – wtrąciła Alex. – Jestem głodna. Mamy jeszcze coś do jedzenia?

Złożyli na kupkę resztki wiktuałów.

– Dzięki Bogu, że Mike tyle je – zaszczębiotała Frankie. – Wzięłam przez to sporo nadprogramowego żarcia.

– Specyficzny komplement. Nie wiadomo, czy dziękować, czy się obrazić – mruknął Mike. Być może po połknięciu tabletki ulegał autosugestii, lecz ból głowy powoli ustępował, a on czuł się o niebo lepiej.

– Sorki, ale nie ma tu nic odpowiedniego na śniadanie – skrzywiła się Alex. – Mamy za to makaron błyskawiczny, jeśli ktoś ma ochotę. Mike?

– Na razie wolę nawet nie myśleć o jedzeniu – otrząsnął się.

– Super, zostanie więcej dla nas.

– Poczekajcie – odezwała się Liz. – A może byśmy odłożyli trochę jedzenia na później, tak na wszelki wypadek, gdyby Martyn nie zjawił się jednak przed lunchem?

– E tam, jeden posiłek nas nie zbawi – prychnął lekceważąco Geoff. – Będzie można za to zjeść megakolację.

– Niby tak, ale jeśli nie zjawi się też przed kolacją... – ciągnęła Liz z wyraźnym zakłopotaniem.

– Co ty wygadujesz?

– Przecież nie wiemy, kiedy Martyn przyjdzie. Nie spieszmy się tak. A nuż to jedzenie będzie musiało nam starczyć na znacznie dłużej, niż się spodziewamy?

Geoff wzruszył ramionami.

– Wyluzuj, kobieto. Niedługo nas wypuści. Patrzcie, mamy jeszcze dwie kiełbaski.

Był sobotni wieczór, dochodziła siódma, lokal zaczynał się powoli zaludniać. Wszyscy tam byli... no wiesz, ci co zwykle: Jill, Alex, chłopaki z klubu. Na parkiecie było jeszcze prawie pusto. Stałyśmy przy barze sącząc drinki, co rusz wybuchałyśmy śmiechem. Przyszłam z Nataszą i kilkorgiem jej znajomych. Natasza ma bzika na punkcie Londynu, ciągle papie o imprezach, klubach i tym podobnych. Było fajnie... byłam tam nowa, ale dobrze się czułam w ich towarzystwie. Było mi też miło, bo Natasza mnie polubiła. – „Lot anioła” dla mnie i Lisy – rzuciła barmanowi. – Muszę cię przedstawić paru osobom – mówiła. – Wszyscy tu przychodzą, a już na pewno ci, których warto poznać.

– *Którzy to? – dopytywałam się. Wymieniła mnóstwo imion, większość zdążyłam zapomnieć. – Może przyjdzie Martyn – ciągnęła. Oczywiście wiele o nim słyszałam, ale nigdy nie miałam okazji go poznać. – Czasem tu wpada, kiedy jest w nastroju – dodała. Wyobrażałam sobie, jaki jest... wysoki, elegancki, o ciemnych oczach i aroganckim wyrazie twarzy. Dołączyłyśmy do grupki osób stojącej w pobliżu sceny, gdzie właśnie zaczęła grać jakaś kapela. Był wśród nich Vernon.*

– *Hej! A to kto? – zagaił. Natasza przedstawiła mnie jako swoje najnowsze odkrycie. Chwaliła, że jestem świetna. – Cześć, Lisa. – Vernon powitał mnie wylewnie i błaznując bez opamiętania, pocałował w rękę. – Gratuluję statusu odkrycia Nataszy. – Powiedziałam „dzięki” czy coś w tym stylu. Nie byłam przyzwyczajona do takiego zachowania. Próbowалаłam się śmiać, gdy padał jakiś żart... ale to dość trudne, kiedy tak naprawdę nie wie się, o co chodzi. Łatwo poznać, gdy ktoś chce na siłę dostosować się do grupy. Zresztą nieważne. Wtedy pojawił się ten nowy chłopak. Sprawiał wrażenie równie zagubionego jak ja. Postał trochę z boku, a potem przecisnął się przez grupkę rozgadanych osób i usiadł tuż przy mnie.*

Spojrzał na mnie – i zastygł... bez ruchu, bez słowa. Zupełnie jakbym była jakimś dziwolągiem albo jakby skądś mnie znał. A potem Vernon powiedział: – Cześć, Martyn.

Natasza z mety rzuciła się do prezentacji: – To jest Lisa. Liso, poznajcie się, to Martyn, nasz nadworny kawalarz. – Vernon wtrącił, że to niezły porąbaniec, co wszyscy uznali za świetny żart. Musiałam mieć dość zdziwioną minę, bo nagle się do mnie uśmiechnął i powiedział: – Wiesz, na weekendy zdejmuję maskę potwora. – Ale mówiąc to, nie spuszczał ze mnie zamysłonego wzroku. Wyczułam, że to żart i roześmiałam się. Więc to jest on, pomyślałam. Wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Potem jeden z chłopaków powiedział: – Panowie do wodopaju! – i kilku ruszyło przez parkiet do baru.

– Taa... – odezwał się do mnie Martyn. – Nowa twarz pośród londyńskiej bandy to zawsze pożądany widok.

– Lubisz te klimaty? – spytałam, a on odpowiedział, że to zależy, co kogo kręci, czy coś w tym rodzaju. Pomyślałam, że chodzi mu o to, że on też nie przepada za tym wszystkim, więc dorzuciłam, że ja właściwie nie lubię wielkich imprez.

– To dlaczego tu jesteś? – spytał mnie natychmiast, a ja odparłam, że to pomysł Nataszy, co zabrzmiało dość głupio, więc zachichotałam nerwowo i on się uśmiechnął.

– Człowiek nie powinien się przejmować cudzymi oczekiwaniami – powiedział z udawaną powagą. – Uleganie naciskom i stereotypom tłamsi osobowość. – Kątem oka dostrzegłam, że Natasza macha do mnie z drugiego końca sali. Powiedziałam, że muszę iść i że pewnie jeszcze na siebie wpadniemy.

Przytaknął tylko i życzył mi dobrej zabawy. Właśnie zbierałam się do odejścia, kiedy dodał: – Chciałbym z tobą jeszcze pogadać... jak oboje będziemy mieć więcej czasu. Przypominasz mi kogoś. – Kiwnęłam szybko głową i dołączyłam do towarzystwa Nataszy. Czułam się świetnie; właśnie poznałam najpopularniejszego chłopaka w szkole, a on chce się ze mną umówić. Doskonale się bawiłam przez resztę wieczoru, bo już nie byłam tylko dodatkiem do Nataszy... Miałam wrażenie, że stałam się nagle pełnowartościowym człowiekiem.

Wyłączywszy magnetofon, usiadłam wygodnie. Zastanawiałam się, czy można było na jej miejscu zareagować inaczej. Szczerze mówiąc, wątpię. Martyn miał, to znaczy ma, niesamowitą charyzmę.

Jednakże to ja zrobiłam coś, czego nie mogę wyrzucić z pamięci i co mnie przeraża. Kiedy słucham głosu Lisy utrwalonego dawno temu na tej cieniutkiej taśmie, zdaję sobie

jasno sprawę, że nie będzie mi dane przeprosić, cofnąć czasu ani naprawić tego, co się stało.
Ta świadomość sprawia mi ból i upływ czasu nie jest w stanie tego zmienić.

ROZDZIAŁ 7

Nadeszła pora lunchu. Mike, którego ominęło skromne śniadanie, zaczynał odczuwać dotkliwy głód.

– Sama nie wiem... – zaczęła niepewnie Alex.

– Czego nie wiesz?

– Hm, czy mądrze będzie zużyć do końca zapasy? Może powinniśmy trochę odłożyć?

Na popołudnie?

– A co zostało? – zainteresował się Mike. – Cholera, ale mnie ssie.

– Będziesz musiał przywyknąć do znacznie mniejszych porcji – odezwała się Frankie.

– Ani myślę dzielić się swoim przydziałem.

– Nie ma się czym przejmować – uspokoiła ją szybko Alex. – Sprawiedliwie wszystko podzielimy. – Pogrzebała w leżącej przy niej kupce paczuszek, wyciągając w końcu jedną. – Masz, tylko to mogę ci zaproponować.

– Pewnie, że nie ma się czym przejmować – przedrzeźniał Geoff. – Za chwilę ta zabawa w ogóle przestanie być śmieszna. Nie wiem jak wy, ale ja umieram z nudów.

– Wiemy, wiemy – zbyła go Frankie. – Już to słyszeliśmy. I co z tego? Siedź na tyłku i nudź się po cichu.

Mike przetrząsnął plecak i jedzenie, które znalazł, ustawił równym rzędkiem na podłodze. Reszta towarzystwa zrobiła to samo.

– Wiele nam nie zostało – stwierdziła Alex cichutko.

– Trzeba będzie oszczędnie gospodarować – dodała Frankie.

Wydzieliwszy skrupulatnie po porcji dla każdego, jedli w pełnym zadumy milczeniu.

– Byłoby ciekawie, gdyby to wszystko działa się naprawdę – myślał głośno Geoff. – Gdybyśmy byli na pustyni albo na bezludnej wyspie z tym skromnym korytem. Co byście zrobili?

– Dzięki Bogu nie jesteśmy na bezludnej wyspie – odetchnęła Alex.

– Na wyspie moglibyśmy łowić ryby i inne takie tam... żyjątka – ucieszył się Mike. –

A potem byśmy je gotowali w nagrzanej słońcem wodzie w zagłębieniach skał albo piekli na rozgrzanych w ognisku kamieniach.

– Zamknij ze się już – warknęła Frankie – i przestań bredzić o jedzeniu.

– Ona ma rację, Mikey – przytaknęła Alex.

– Przepraszam.

– W naszej sytuacji to mało taktowne.

– W porządku, już się zamykam.

Z nadejściem popołudnia wszyscy przycichli. Mike leżał na wznak z założonymi pod głowę rękami i gapiąc się na położone u szczytu przeciwległej ściany drzwi, snuł domysły, co może się dziać na zewnątrz. Pewnie liście ogromnego ostrokrzewu rosnącego u szczytu schodów poruszają się delikatnie na wietrze, a słońce rzęsiście oświetla puste boiska do krykieta i wytartą kamienną posadzkę dziedzińca szkolnego. Cienie arkad rozpoczęły już zapewne stateczną procesję i przecinając ścieżki i trawniki, zmierzają ku pracowniom angielskiego, gdzie będą się wydłużać wraz z chylącym się ku wieczorowi popołudniem.

Zastanawiał się, co porabiają uczestnicy wycieczki szkolnej. Za trzy dni wracają przecież do domu. Potem rozejrzał się po piwnicy. Liz trzymała w ręku butelkę po lemoniadzie, bezmyślnie skubiąc plastikową nakrętkę. Przez jej twarz przemknął ledwie zauważalny cień niepokoju. Kiedy nakrętka w końcu ustąpiła, Liz bezwiednie nałożyła ją z powrotem i odłożyła butelkę na podłogę. Podniosła wzrok, a napotkawszy spojrzenie Mike'a uśmiechnęła się promiennie. Potem wzięła do ręki swój nieodłączny notatnik i zaczęła przerzucać zapisane strony. Mike był ciekaw, co tak skrupulatnie notuje.

Martyn nie popełnia błędów. Ta myśl pojawiła się w jego głowie zupełnie mimowolnie, jak gdyby ktoś ją tam niepostrzeżenie podrzucił. Zaczął się nad tym zastanawiać. Martyn stał za niejednym wyglupem i nigdy dotąd nie zdarzyła mu się podobna wpadka. To właśnie była podstawowa cecha jego misternie zaplanowanych figli: wszystko działało jak mechanizm bomby z opóźnionym zapłonem – pełna dyskrecja i precyzja aż do momentu detonacji. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się popełnić błędu.

To była podstępna myśl. Już prawie udało mu się odsunąć ją od siebie i wyrzucić z pamięci, gdy pojawiła się w jej miejsce nowa. Jeśli wydarzenia ostatnich godzin nie są wynikiem błędu, to pozostają dwie możliwości: albo Martyn zaplanował wszystko z premedytacją, albo coś mu się stało. Mike poczuł, jak przytłacza go ciężar tego, co sobie uzmysłowił. Właśnie wtedy po raz pierwszy do niego dotarło, że Martyn stał się wobec nich nieomal Bogiem.

Tuż przed zakolem, które łagodnym łukiem opływa błonia, rzeka sunie szerokim leniwym strumieniem. Woda jest tam głęboka, a brzegi porastają gęste zarośla turzycy poprzetykane długimi kłosami dzikiej trawy. O zmierzchu, kiedy wiszący w powietrzu upał zaczynał tracić na sile, poszłam popływać.

Już na niewielkiej głębokości robi się mroczno, a woda zdaje się gęstnieć. Falujące łagodnie z prądem rzeki długie pędy wodorostów ocierają się o nogi i ramiona. Zaczepnęłam powietrza i zanurkowałam głęboko, w sam środek nurtu. Nasza rzeka jest za stara, by stanowić zagrożenie: jej prąd nie porywa ludzi i nie unosi do morza. Nieopodal, w okolicach brodu, zbierają się popołudniami młode mamy ze swoimi pociechami, które chlapią się bez troski na płyciźnie o czyściutkim, pokrytym białym żwirem dnie. Ale tu gdzie pływam, dno jest grząskie, w rzece kłębią się wodorosty, ja zaś lubię sobie wyobrazać, że wartki nurt mógłby okazać się zabójczy.

Wynurzywszy się, popłynęłam niespiesznie w stronę brzegu. Odległe krańce nieba zrobiły się niemal przezroczyste, a wszystko w zasięgu wzroku spowijała cieniutka warstwa bladej zielonkawej mgiełki. Kiedy patrzy się w górę z samego środka rzeki, nie widać niczego prócz nieba; wystarczy położyć się na wznak, zanurzyć uszy i poddać wrażeniu, że wszystko inne znikło z powierzchni ziemi. Powoli zmieniłam pozycję i popłynęłam na ukos, w górę rzeki, do miejsca, skąd zniósł mnie łagodny nurt. Latem rzeki bywają jak przyczajone drapieżniki, ale pierwsza ulewa po okresie suszy odmienia je do niepoznania i nie sposób wtedy zażywać kąpieli, chyba że jest się szaleńcem albo desperatem.

Wdrapywałam się na stromy brzeg, czując, jak woda ciągnie moje ciało w dół. Owionęła mnie fala chłodnego powietrza. Wstrząsnął mną dreszcz, jednakże zanim sięgnęłam po ręcznik, odczekałam chwilę, by w pełni nacieszyć się tym doznaniem. W domu, od którego dzielił mnie zaledwie dziesięciominutowy marsz, czeka gorąca herbata. Uśmiechając się do tej myśli pobieżnie się wytarłam, naciągnęłam dzinsy i podkoszulek. Byłam oczywiście cała wilgotna, lecz ta drobna niewygodność nie miała żadnego znaczenia.

– On po prostu nie popełnia błędów – powtórzył Mike. – Więc albo Martyn zaplanował to wszystko z premedytacją, albo coś mu się stało.

– Na przykład co?

– Nie mam pojęcia. Mógł złamać nogę albo rękę, mógł wylądować w szpitalu. Może go nie być przez parę tygodni.

– Ale przecież... – zaczęła Alex i urwała.

– ...to niemożliwe? – Geoff dokończył za nią pełnym zniecierpliwienia głosem. –

Jasne, że możliwe. Rusz mózgowicą. Myślisz, że Martynowi przysługuje jakiś specjalny immunitet? – Walnął dłonią o podłogę. – Cholera, nikt się nawet nie domyśla, że tu jesteśmy.

– I co teraz? – spytała bezradnie Frankie.

– Może to jednak nie to – myślał głośno Mike. – Jest jeszcze druga możliwość.

– Jaka? Że to wszystko zaplanował? – Alex spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Że to część eksperymentu. Wiem, że prawdopodobieństwo jest znikome – dodał szybko Mike – ale to nie znaczy, że go nie ma.

– Nie widzę w tym sensu – stwierdziła Frankie.

– Może próbuje nas tylko nastraszyć – zastanawiał się Geoff.

– No to świetnie mu idzie – warknęła Alex.

– Och, dałabyś już spokój.

– Tak? – skrzywiła się Alex z niesmakiem. – To już nawet nie jest śmieszne.

Właściwie nigdy nie było.

– Więc wszyscy się zgadzamy, że to część planu Martyna? – odezwała się Frankie.

– Taką mam, do kurwy nędzy, nadzieję – odrzekł cicho Geoff.

– A czemu? Może takie gierki cię rajcują? Geoff wlepił w dziewczynę zdumiony wzrok.

– Czy ty naprawdę nic nie kapujesz? – Zapadła cisza. Wszyscy czekali w napięciu, co powie. – Jeśli zaplanował ten poślizg z premedytacją, jeśli to według niego świetny dowcip, to wszystko wcześniej czy później skończy się happy endem. Ale jeśli wlaź pod rozpędzony autobus albo skoczył w przepaść, to utknęliśmy tu na amen, łapiesz wreszcie? – Zaczerpnąwszy tchu dodał: – Wbij to sobie do łba: nikt się nawet nie domyśla, że tu jesteśmy.

Frankie siedziała z uchylonymi ustami i nieokreślonym wyrazem twarzy.

– Wcześniej mówiłeś co innego. Powtarzałeś, że Martyn lada chwila nas wypuści.

– Zmieniłem zdanie: chyba się na to nie zanosì.

– Co to za brednie? – zmarszczyła brwi Alex. – Martyn nie żyje? Jakoś mi się nie chce w to wierzyć.

– Nie wiemy, jak jest – stwierdził twardo Geoff. – Nie mamy pojęcia, co się dzieje na górze. Cholera, mógłby nastąpić koniec tego pieprzonego świata, a my byśmy tu dalej siedzieli jak te kołki.

– Ale to jest... – wykrztusiła Alex.

– Idiotyczne? Bez pojęcia? Taa... Ale już kapujecie, co? Nie mamy żadnej kontroli nad tym, co się dzieje na zewnątrz. A skoro Martyn nie może nas uwolnić, to jak mamy się stąd wydostać?

Ponad ich głowami, u szczytu ściany, tkwił tępo ślepy prostokąt zamkniętych na głucho, zapomnianych drzwi.

Więc pomyślałam, że mogłabym spróbować... ot tak, żeby się przekonać, jak to jest być jego dziewczyną. Owszem, kręciło mnie to i przyznaję, uważałam go za intrygującego faceta – może nawet trochę niebezpiecznego. Byłam prawie jak ta dziewczyna z filmu z lat sześćdziesiątych, która przystaje do bandy szkolnych buntowników i przekonuje się, że są ciekawsi niż jej porządne przyjaciółeczki. Czułam się... sama nie wiem, jak to określić... jak na haju? Nie znałam wcześniej tego uczucia. Wpadłam po uszy, zanim tak naprawdę uświadomiłam sobie, co robię. To też miało swój urok – wiedziałam, co się dzieje, ale nie robiłam nic, żeby temu zapobiec. Cały czas kłębiły mi się w głowie setki możliwości, próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym zakręconym gościu, który tak bardzo wszystkich interesował.

A on – cóż, na początku niewiele rozumiałam, ale z czasem zaczęło do mnie docierać, że jest w nim coś dziwnego. Historie, które opowiadał, kiedy byliśmy sami, nie brzmiały całkiem normalnie. A czasami po prostu... milkł. Przerywał w pół zdania, zatrzymywał się bez względu na to, co akurat robił, i zastygał na chwilę w bezruchu. Czasem trwało to zaledwie ułamek sekundy – chociaż wystarczyło się uważnie przyglądać, żeby zauważyć taki moment – ale bywało, że trochę dłużej. Jakby coś przykuło jego uwagę, jakby kątem oka dostrzegł coś osobliwego. Wydaje mi się, że chodziły mu wtedy po głowie pomysły tych jego wyglupów...

Ale to wszystko było jak lukier na cięście, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dodatki, szczegółiki, które nadawały tej wspaniałej postaci pozory niezwykłości. Bo tak naprawdę Martyn był przede wszystkim postacią, a nie realną, żywą osobą. Żeby zrozumieć człowieka, przekonać się, jaki jest, należy go dobrze poznać. Z postaciami jest inaczej: wystarczają plotki i to, co gadają ludzie: „O tak, znam tego gościa”. Są jak bohaterowie gazetowych artykułów – nie trzeba ich poznawać osobiście...

Wszyscy znajomi cieszyli się moim szczęściem, co też było przyjemne. Niewiele z tego rozumiałam.

Umówiliśmy się więc na kilka randek, jak każda inna para.

Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie, a mieszkańcy Bunkra siedzieli na swoich miejscach i unikając wzroku towarzyszy, gapili się w ściany, podłogę, własne stopy albo plecaki. W powietrzu wyczuwało się nieznośne napięcie. Na środku piwnicy piętrzyło się

jedzenie. Niezbyt imponującą kolekcję puszek i paczek otaczały wianuszkami blade cienie sylwetek całej piątki.

– Można by spróbować wezwać pomoc – przerwała ciszę Alex. Mike rzucił jej szybkie spojrzenie, wdzięczny, że ktoś się wreszcie odezwał. – Moglibyśmy wszyscy krzyczeć razem. A nuż ktoś nas usłyszy.

Pozostali najwyraźniej zaczęli się zastanawiać.

– Czemu nie? – ożywiła się Frankie. – Na trzy, cztery wszyscy wołamy „Ratunku!”.
Trzy, cztery.

Tylko troje z nich przyłączyło się do akcji. Geoff i Liz siedzieli bez ruchu na swoich miejscach.

– Nie wygłupiajcie się – denerwowała się Alex. – Wysilcie się choć trochę, co?

– To ty się nie wygłupiaj – odparł Geoff. – Na litość boską, jesteśmy pod ziemią. Jak myślisz, kto nas tu usłyszy?

– Może akurat kręcą się na górze ogrodnicy albo ktoś w tym stylu – wyraziła nadzieję Frankie.

– Okej – westchnął Geoff. – Drzyjcie się, ile chcecie, ale nie oczekujcie, że będę wypluwał płuca nadaremno.

– Zamknij się już, dobrze? – wyrzuciła z siebie Alex z zadziwiającą stanowczością. – Przynajmniej próbujemy coś zrobić. Ty masz to gdzieś. Chyba ci wszystko jedno, czy się stąd wydostaniemy czy nie.

Geoff powoli podniósł wzrok.

– Wyobraź sobie, że nie jest mi wszystko jedno – wycedził. – Tylko skończony idiota miałby to w dupie. – Było wyraźnie słychać, jak w jego głosie zbiera złość. – Ale do ciebie chyba coś nie dociera. Czy nie pojęłaś jeszcze swoim rozumkiem, że nic nie możemy zrobić? A może się mylę?

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przepełniał gniew i poczucie beznadziejności.

– A może się mylę? – powtórzył. Tym razem jego słowa zabrzmiały prawie jak wyzwanie.

Pierwsza odezwała się Frankie.

– Może faktycznie nie możemy nic zrobić – powiedziała. – Może nigdy się stąd nie wydostaniemy. Ale przynajmniej nie dajemy za wygraną.

Frankie z trudem łąpała oddech. Kiedy Mike na nią spojrzał, zobaczył w jej oczach łzy.

– Cudownie – rzucił Geoff. – No to mamy jasność: byle się tylko nie poddać.

Mike przesunął zaciśniętą pięścią po podbródku. Wiedział, że Geoff ma rację, ale równocześnie bronił się przed tym. Nie biorąc udziału w rozmowie Liz wyraźnie odstawiała od reszty; wydawała się pochłonięta przeglądaniem swoich zapisków. Mike zauważył jednak, że od czasu do czasu omiata szybkim spojrzeniem rozgrywającą się na jej oczach scenę. Był ciekaw, o czym myśli i czy pod pozorami spokoju i opanowania czai się choć odrobina zaniepokojenia rozwojem wypadków; niewykluczone, że i ona zaczyna się bać. Mimo to jej nieruchoma jak maska twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nawet gdy ich spojrzenia na chwilę się spotkały, wyraz jej twarzy ani trochę się nie zmienił. Zupełnie jakby go w ogóle nie dostrzegła.

Mike zdał sobie nagle sprawę, że już się z czymś podobnym spotkał: taki wyraz twarzy miewali jego koledzy w czasie egzaminów, kiedy biedzili się nad wypracowaniami, a wskazówki wiszącego na ścianie zegara odmierzały precyzyjnie każdą sekundę. Niewykluczone, że to pozornie nieobecne spojrzenie wyraża stan najwyższej koncentracji. Co ona kombinuje?

– Chyba nie sądzicie, że... – zaczęła Frankie, ale natychmiast urwała.

– Że co?

– Nie, nic. To i tak nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma – upierała się Alex. – Chyba nie sądzicie, że...?

Frankie objęła ramionami podkurczone nogi i przerażona wykrztusiła:

– Że moglibyśmy... że się stąd nie wydostaniemy? Chyba tak nie myślicie?

Alex milczała.

– Człowiek może przeżyć wiele dni o samej wodzie. Bardzo wiele dni – powiedziała cicho Liz.

– No i niedługo wraca wycieczka – ucieszyła się Frankie. – Tak, tak, za parę dni będą w domu.

Geoff obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

– Ile dokładnie? – zainteresował się Mike.

– Nie wiem, ale to raczej tygodnie, a nie dni. Poza tym nie będziemy raczej zużywać energii.

– Racja – skrzywił się Mike. Jeśli Liz jest taka pewna swego, to o czym tak intensywnie rozmyśla? – Jesteś tego pewna? – nie dawał za wygraną.

– Jestem.

Zauważywszy, jak spuściła wzrok na zaciśnięte na podołku dłonie, Mike nabrał przekonania, że Liz kłamie.

Przez cały czas próbowaliśmy jeszcze wierzyć, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że lada moment pojawi się Martyn i nas wypuści. Jakże łatwo przychodziła nam ta wiara. Bądź co bądź znacznie prościej było czekać, niż próbować cokolwiek robić. Jak stwierdził Geoff, w gruncie rzeczy niewiele mogliśmy zdziałać.

To było jak walka z wszechogarniającym zmęczeniem: wiesz, że jeśli zamkniesz oczy, natychmiast zaśniesz, ale myślisz sobie, że dodatkowa sekunda czuwania nie zrobi żadnej różnicy, że dwie to też niewiele, że i dziesięć sekund to pestka... aż padasz w końcu nieprzytomny z wyczerpania. Wszelkie próby przemyślenia sytuacji napotykały po prostu niewiarygodny opór.

Nie sposób było się stamtąd wydostać. Drzwi znajdowały się dwanaście stóp nad naszymi głowami i były zamknięte. Jediną szczelinę stanowiła dziurka od klucza, a przez nią nie mogliśmy się przecisnąć. Byliśmy jak w potrzasku.

Jedynym ratunkiem, chociaż chyba nikt nie powiedział tego głośno, mogło dla nas być rozwiązanie w stylu *deus ex machina*. Na przykład niewidoczna na pierwszy rzut oka kłapa w podłodze, zapomniane, lecz dość niedbale zamurowane drzwi albo jakieś sekretne przejście. A może przechodzień, który przez przypadek usłyszy szmer naszych rozmów i zechce zbadać jego źródło? Jedyne, co nam pozostało, to chyba modlić się o cud. Ale nie do Martyna. Nigdy nie postrzegaliśmy go jako Boga, chociaż było mu doń znacznie bliżej niż nam.

Tak więc siedzieliśmy, czekając na rozwój wypadków – dokładnie tak jak przewidywał jego plan.

ROZDZIAŁ 8

Nikt nie chciał pierwszy sięgnąć po jedzenie. Dzień mijał niespiesznie, a oni siedzieli, czując, jak przez ich jelita pełźnie powoli dotkliwe uczucie głodu. Żadne nie miało chęci o tym mówić. Drzwi pozostawały zamknięte, a z zewnątrz nie dochodził żaden głos. Wydawało się, że jakaś tajemnicza siła zmiotła z powierzchni ziemi wszystko oprócz tej piwnicy. Gdy nadszedł wieczór, zgasili światło i zaczęli układać się do snu.

Mike długo nie mógł zmrużyć oka. Utkwiwszy wzrok we wszechogarniającej ciemności Bunkra, rozpatrywał wszelkie możliwe warianty rozwoju wydarzeń. Wiedząc, że reszta grupy robi prawdopodobnie to samo, zastanawiał się, czy osiągnie coś tymi rozważaniami. Najlepiej byłoby zapaść w sen do czasu, aż ktoś ich znajdzie; pogрузić się w bezpiecznej nieświadomości, jednocześnie oszczędzając siły na to, co może ich jeszcze czekać.

Był względnie wczesny wieczór, słońce pewnie jeszcze rzucało krwawą poświatę na mknące w zmierzchu resztki dnia. Mike rozejrzał się, próbując zlokalizować jedyną gwiazdę Bunkra. Znalazł ją tam gdzie zwykle. Zanim odpłynął w końcu w sen, wydało mu się, że punkcik przyćmionego światła mrugnął do niego, jakby rozbawiony wyjątkowo śmiesznym dowcipem.

Pamiętam tamtą noc, jakby to było wczoraj – przerażenie potrafi rozjaśnić myśli i wyostrzyć zmysły. Nie miałam pojęcia, co robić. Nie mogłam uwierzyć, że zabrnęłam w historię z Bunkrem tak daleko, iż nie było już odwrotu. Do tej pory zawsze sama odpowiadałam za to, co robię. Musiałam być nieodmiennie rozsądna i przezorna, myśleć o przyszłości i dbać o własne sprawy. A jednak jestem tu, padłszy ofiarą tak niedorzecznego planu, że powinnam go była przejrzeć już na pierwszy rzut oka. Nie mogłam sobie tego darować. Zawsze uważałam się za ostatnią osobę, która lekceważąc zdrowy rozsądek, dałaby się porwać choćby nie wiem jak charyzmatycznemu przywódcy. Ale tak właśnie się stało. Kiedy wracając myślą do tamtych chwil, uświadamiam sobie, że nie tylko ja, ale i cała szkoła

dała się uwieść czarowi Martyna, do pewnego stopnia rozumiem, dlaczego stało się to, co się stało. Zrozumieć to wszakże nie to samo, co wybaczyć.

Nie ma chyba nic gorszego niż ponoszenie konsekwencji własnego braku wyobraźni. Im dłużej analizowałam nasze położenie, tym wyraźniej docierało do mnie, że Bunkier został zaplanowany z bezwzględną precyzją i że w planie Martyna nie ma żadnych niedociągnięć, a my znaleźliśmy się w potrzasku. Przytłoczona beznadziejnością sytuacji poczułam się nagle szalenie samotna.

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy coś wyrwało Mike'a z niespokojnego snu. Przez krótką chwilę nieomal uwierzył, że znajduje się gdzie indziej, z dala od koszmaru, w który zaczął się obracać eksperyment Martyna. Ale twarda podłoga piwnicy i nieprzenikniona, oglupiająca wzrok ciemność zmusiły go do konfrontacji z prawdą o tym, gdzie jest i w co się wpakował. Wstał powolutku i starając się nikogo nie obudzić, podreptał w kierunku toalety. Opierając kolana o zimny brzeg muszli klozetowej, oddał mocz.

– Mike?

Z wrażenia aż podskoczył. Czyjś szept za plecami nie był czymś, czego by się tu spodziewał. Podciągnąwszy pospiesznie bokserki, odwrócił się. Korytarzyk prowadzący do toalety był nadal pograżony w zupełnych ciemnościach.

– Kto tu jest?

– To ja, Liz, przepraszam.

– Chryste, ale mnie przestraszyłaś.

– Wiem. Nie spuszczaaj wody, dobrze?

– W porządku – szepnął Mike. – Obudziłem cię?

– Niezupełnie. Miałam wiele spraw do przemyślenia.

– To akurat zauważyłem.

Rozległo się suche kliknięcie i latarka Liz rzuciła na podłogę plamę żółtego światła. Dziewczyna wyglądała na zmęczoną. Zmierzwione włosy opadały jej niesfornymi pasmami na ramiona. Zauważywszy, że Liz trzyma pod pachą pustą butelkę po lemoniadzie, Mike o mało nie wybuchnął śmiechem.

– Po co ci ta butelka? Planowałaś nocną imprezkę?

– Chodźmy stąd, dobrze? Wolałabym nikogo nie budzić, a chcę z tobą pogadać. – Liz skierowała światło latarki ku niewielkiemu pomieszczeniu po drugiej stronie toalety.

– Okej.

Jedno po drugim weszli do pustego pokoiku i nieco zakłopotani usiedli naprzeciw

siebie.

– Prawie się już wyładowała. Szkoda, że nie zabrałam zapasowych baterii. – Liz położyła latarkę na podłodze. Trójkąt bladego światła wydobywał z mroku długie szczeliny pomiędzy kafłami. – Nie tylko o tym powinnam była zresztą pomyśleć.

– Jak sądzisz, co z nami będzie? – odezwał się Mike.

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Geoff zaczyna powoli kapować, co się dzieje, i myślę, że do Frankie też to wkrótce dotrze. Ale on już się poddał, a Frankie... – Liz się zawahała. – Z Frankie nie będzie raczej pożytku.

– A co się dzieje? – spytał mimowolnie Mike. Uświadomił sobie nagle, że nie chce znać odpowiedzi.

Liz uśmiechnęła się niewesoło.

– To zależy. Chyba się domyślam, jaki będzie następny etap, ale nie jestem... nie mam jeszcze całkowitej pewności. Lada chwila się dowiemy.

– W jaki sposób?

– Hola, nie powiedziałaś mi jeszcze, co ty o tym wszystkim sądzisz.

– Uważam, że plan Martyna wziął w łeb – rzekł Mike. – Klapa na całego. Ciągłe próbuję znaleźć jakiś sposób, wyjście, ale chyba tracę tylko czas. Koszmar.

Liz spojrzała na niego bez słowa. W końcu przemówiła:

– Zgadzam się, to okropne. Ale nie wydaje mi się, żeby cokolwiek wzięło w łeb. I to mnie właśnie najbardziej przeraża.

– Więc myślisz, że to, co się dzieje, jest nadal częścią durnego wygłupu?

Posłała mu jeszcze jeden smętny uśmiech.

– Bynajmniej. – Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Mike, ja naprawdę się boję.

– Ja też – przyznał cicho, zdając sobie równocześnie sprawę, że istotnie czuje strach.

Światło latarki nagle zbladło, zamrugało, ale po chwili odzyskało poprzednie natężenie. Liz pokręciła tylko głową, jakby migotanie latarki zakłóciło jej stan pełnego skupienia.

– No to chodź – powiedziała. – Lepiej się przekonajmy, czy mam rację.

Zaintrygowany Mike ruszył za Liz z powrotem do toalety. Postawiwszy butelkę po lemoniadzie na podłodze, ukłękła przy wystającym ze ściany kranie.

– Mógłbyś to potrzymać? – spytała, przekazując mu latarkę. – Poświeć mi tak, żebym dobrze widziała kran. Cholera, że też nie zabrałam zapasowych baterii. Czuję, że będą nam potrzebne.

Mike gapił się jak urzeczony, kiedy Liz podstawiła pod kranik butelkę po

lemoniadzie.

– Dwa litry – mruknęła do siebie, powoli odkręcając kurek. Po ściance butelki zaczął bezgłośnie spływać cieniutki strumyk wody, ale gdy ostrożnie zwiększyła przepływ, z kranu wydobyło się ciche syczenie.

Mike patrzył, jak podnosi się poziom wody – jedna trzecia, połowa... Nagle rozległ się głośny bulgot i na stopach Mike'a wylądował spieniony bryzg zimnej wody. Liz nawet nie drgnęła. Butelka była już wypełniona do połowy i woda osiągnęła poziom szerokiej zielonej etykiety, kiedy z kranu dobyło się kilka głośnych prychnięć, a regularny strumyczek ustał zupełnie. Mimo to dziewczyna powolutku odkręciła zawór do końca.

– I to by było na tyle – westchnęła. – Nie ma więcej wody.

– Skończyła się? – wyszeptał Mike z przerażeniem w głosie.

– Odcięto dopływ – poprawiła go, zakręcając mocno butelkę. – Czy ty naprawdę nie rozumiesz, co się dzieje?

– A co tu jest do rozumienia? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Mike sam nie wiedział, dlaczego tak uparcie się broni przed nazwaniem rzeczy po imieniu. Wrócili do pomieszczenia naprzeciw toalety.

– Domyśliłam się, że tak będzie, dzisiaj po południu. Moje własne słowa mi to uzmysłowiły.

– Powiedziałaś, że moglibyśmy przeżyć wiele dni o samej wodzie – przypomniał sobie głośno Mike.

– Zgadza się. Bez wody pożyjemy za to znacznie krócej... i pomyślałam wtedy, że jeśli to naprawdę część planu Martyna, jeśli nadal panuje nad sytuacją, to w następnej kolejności pozbawi nas właśnie wody.

– No i pozbawił – wykrztusił Mike. – To jest... – próbował znaleźć właściwe słowa – ...niewiarygodne. To szaleństwo.

– Martyn jest szalony – powiedziała tylko Liz.

– Wiem, przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie wyciąłby takiego numeru.

– Mówię całkiem poważnie – ciągnęła. – Tym razem to nie jest wygłup, co wydaje się dość oczywiste, prawda? Założył, że nie wyjdziemy stąd żywi. Tylko kompletny świr mógł coś takiego zaplanować.

Mike objął dłońmi głowę.

– No i co my mamy robić? – spłoszony spojrzał na Liz. – Ten gnój ma nad nami cały czas przewagę. On tu dyktuje warunki.

– Hm, może – rzuciła Liz. – Ale wydaje mi się, że jestem bliska... – urwała nagle. –

Musimy rozpracować jego sposób myślenia. Jeśli uda nam się wniknąć w jego psychikę, czuć jak on, to może znajdziemy jakieś wyjście.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie, nie do końca – westchnęła. Przez krótką chwilę, kiedy tak siedziała skulona, z brodą wspartą na kolanach, wyglądała na przerażone dziecko. – Ale przynajmniej zaczynam rozumieć... W końcu przewidziałam, że odetnie nam dopływ wody.

– Ale my nie mamy czasu, żeby zabawiać się w takie gierki – denerwował się Mike. – Co nam zostało? Niecały litr wody. Jak długo pociągnie na tym pięć osób?

– Mamy więcej niż litr.

– Może ciut więcej – upierał się Mike, patrząc z powątpiewaniem na butelkę.

– Jest jeszcze zbiornik – ciągnęła Liz. – Musi tam być sporo wody. Ciekawe, czy o tym pomyślał?

Mike zaczął sobie uświadamiać, jak wiele rzeczy mu umknęło. Liz, która całe popołudnie siedziała bez słowa, nie tylko zdążyła przewidzieć następny etap Bunkra, ale i obmyślała sposób na jego przetrwanie. Ciarki przebiegły mu po plecach, kiedy przypomniał sobie, jak łatwo mógł użyć sfluczki, marnując ostatki wody.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – spytał.

– Sama nie wiem. Czułam, że tak powinnam zrobić... Może dlatego, że tylko my wiemy o dziurce od klucza? Poza tym wydaje mi się, że my przynajmniej myślimy podobnie.

– Słowo daję, że ta dziurka od klucza mrugnęła do mnie wczoraj – zachichotał Mike.

– Co?

– Tuż przed zaśnięciem widziałem wyraźnie, jak mrugnęła.

– No co ty? Odwala ci? – zaniepokoiła się Liz.

– Co powiemy reszcie? – spytał zażenowany, że muszą omawiać takie kwestie.

– Trzeba im oczywiście powiedzieć o wodzie – stwierdziła Liz. – Ale jeśli się zgodzisz, to wolałabym wersję, że najwyraźniej skończył się zapas w cysternie, niż sugerowanie, że odcięto nam dopływ. Możemy powiedzieć, że Martyn brał pod uwagę zapotrzebowanie na trzy dni. Będziemy musieli przelać do butelek resztę wody ze sfluczki. Geoff ma ich na szczęście pod dostatkiem.

– Myślisz, że to kupią?

– Geoff na pewno nie, ale jest chyba szansa, że Frankie i Alex uwierzą. – Liz zdmuchnęła pasmo włosów z twarzy. – Po prostu musimy to wiarygodnie zagrać.

– Jasne – mruknął Mike bez przekonania.

Było jeszcze wcześniej, lecz odłożywszy długopis, odsunęłam krzesło od stołu. Z dołu dobiegło mnie trzaśnięcie frontowych drzwi i szmer rozmowy w korytarzu.

– Mike?

To nie Mike. Rozczarowana wróciłam do pokoiku na poddaszu. Tego popołudnia czułam ogromną potrzebę kontaktu z kimś, kto też tam był. Na długo przed sporządzeniem pierwszych notatek wiedziałam, że nie będzie łatwo. Ta świadomość nie zmienia jednak tego, iż w miarę pisania coraz wyraźniej dociera do mnie, jak niewiele tak naprawdę znaczę. Niełatwo się z tym pogodzić. Przydałaby się jakaś przyjazna twarz.

Usiadłam na powrót przy stole i kreśląc długopisem bezładne koła, gapiłam się na baraszkujące w koronach drzew kosy. Cały czas próbowałam odsunąć od siebie wydarzenia, które czekały na swoją kolej.

Z samego rana powiedzieli reszcie grupy o wodzie, a potem napełnili pozostałe butelki tym, co zostało w spluczce. Przez jakiś czas Mike miał nadzieję, że w prowadzących do niej rurach jeszcze coś jest, ale szybko się przekonał, że i one są puste. Odrobina wody wyciekła jedynie po odkręceniu zaworu kulowego. Niemal natychmiast atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej napięta. Na wieść o wodzie dosyć łatwo kupili bajeczkę o opróżnionej cysternie. Czuło się jednak, że w powietrzu wisi coś, co lada moment może się przerodzić w panikę.

– Jestem głodna – powiedziała cicho Alex, kiedy skończyli napełniać butelki. – Co robimy? Jemy teraz czy oszczędzamy na później?

– Oszczędzamy – ucięła krótko Liz. – Tak długo, jak się da.

Kupka jedzenia, jaka im została, wydała się Mike'owi śmieszna. Starczyłoby może na skromną przekąskę dla pięciu osób, ale posiłek? Rząd ustawionych pod ścianą butelek napawał nieco większym optymizmem. Mike starał się nie zapominać, że chociaż w tym punkcie mają nad Martynem przewagę.

– Musimy ograniczyć do minimum racje jedzenia i picia – odezwała się Frankie. – No i pilnować, żeby wszystko było równo dzielone.

Liz podniosła głowę znad notatnika.

– To nie takie proste, jak ci się zdaje – zauważyła.

– Dlaczego?

– Chcę się przyjrzeć temu, co nam zostało, i ocenić proporcje substancji odżywczych. Wydaje mi się, że potrafię. Czy ktoś z was chodzi do klasy biologiczno-chemicznej?

Odpowiedziała jej cisza.

– A to pech – westchnęła. – Wiem, że ilość spożywanej soli ma kolosalne znaczenie

dla równowagi płynów ustrojowych w organizmie. Ale nie jestem pewna, jak w związku z tym zmodyfikować naszą dietę. Chyba nie powinniśmy jeść słonych pokarmów.

– Wspaniale – zachnął się Geoff. – Chyba! Potrujemy się albo zdechniemy z odwodnienia, bo ty nie jesteś pewna, co mamy jeść, a czego nie.

Dziewczyna bez słowa wróciła do swoich notatek. Po chwili Frankie w milczeniu zebrała pozostałe jedzenie i zaniósła Liz.

– Proszę – powiedziała, dodając z westchnieniem: – Szkoda, że zjadłam wszystkie słodczyce. Pewnie były bogate w cukry. Przydałyby się nam teraz.

– Nie przejmuj się. – Liz uśmiechnęła się przelotnie. – Dzięki Bogu wszyscy jesteśmy raczej zdrowi.

– Nie wiem, w co ty pogrywasz – warknął Geoff. – Tak naprawdę nie wiesz, co robisz. Sama to przyznałaś. Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

– Ja tylko próbuję zadbać, żeby każdy dostał to, czego potrzebuje – uspokajała go Liz. – Staram się, jak potrafię. Pewnie, że bym wolała powierzyć to specjalistom. Byłoby nam wtedy o wiele łatwiej. Ale skoro nie ma takiej możliwości, musicie się zadowolić tym, co jest.

– Co rozumiesz przez zaspokajanie potrzeb? – zainteresował się Geoff. – To proste: wszystko sprawiedliwie dzielimy. Nad czym tu dumać?

– Sprawiedliwie nie znaczy równo – zauważyła Liz. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy podniosła wzrok i spojrzała Geoffowi w oczy. – Chyba nie zaprzeczysz?

Zapadła cisza. Liz i Geoff siedzieli bez ruchu, krzyżując chłodne spojrzenia. W końcu Geoff odwrócił wzrok. Wtedy odezwała się Frankie:

– Cieszę się, że ktoś coś robi – powiedziała rzeczowo. – Wszystko mi jedno, ile dostanę jedzenia. Liz wie więcej niż reszta z nas i wydaje mi się, że świetnie sobie radzi. – Zaśmiała się nerwowo. – Za chwilę pewnie już i tak nas tu nie będzie.

– Myślisz, kurwa, że kogoś obchodzi twoja opinia? – wycedził lodowato Geoff:

Frankie już zaczerpnęła tchu, żeby mu odpowiedzieć, lecz urwała nagle, a przez jej twarz przemknął wyraz kompletnego zagubienia. W końcu wydukała:

– Liz... Wydostaniemy się stąd, prawda?

– Jasne!

– Tak myślałam. – Odwróciła się na bok, plecami do reszty grupy, ale nawet Mike zauważył, że płacze.

Wiele by można zarzucić Martynowi, jednakże z pewnością nie brak ostrożności. Pamiętam doskonale, jak szykował się do niejednego wyglupu. Za każdym razem uderzało

mnie to samo: orientowaliśmy się, o co naprawdę chodzi, dopiero gdy było po wszystkim. W trakcie przygotowań każdy figiel Martyna wydawał się po trosze dziecinny i komiczny. Póki trwał, był zabawny. Kiedy jednak opadała ogólna wesołość, nieliczni z nas odkrywali prawdziwe jego oblicze. Konsekwencje każdego były nieodmiennie zaskakujące. Gibbon wyjechał i już nie wrócił, niektórzy nauczyciele diametralnie zmienili swoje zachowanie. Następstwa tych z pozoru niewinnych wygłupów były najczęściej druzgocące.

Nadal wydaje mi się, że powierzając osobie pokroju Martyna niczym nie ograniczoną władzę nad swoim życiem, wykazałam się niewybaczalną głupotą. Ale przecież żadnemu z nas nawet nie zaświtało, czym może stać się Bunkier. Sam pomysł takiego eksperymentu był nazbyt potworny, by choć przez chwilę zaprzętać nim sobie głowę. Po prostu nie do wiary. Nie analizuje się drobiazgowo wygłupu autorstwa szkolnego kawalarza, żeby się przekonać, czy aby na pewno nie przypłaci się go życiem – nie ma takiej potrzeby.

Gdybyśmy tylko w porę dostrzegli, że tym razem jest inaczej, gdyby choć jedno z nas z jakiegokolwiek powodu postanowiło wycofać się z tego eksperymentu, to misterny plan Martyna spełzyłby na niczym. Na zewnątrz pozostałby ktoś wtajemniczony, więc nie czułby się bezkarny. Gdybyśmy tylko zdradzili komuś, dokąd się udajemy... Ale oczywiście nie zdradziliśmy, co więcej, byliśmy dumni, że bierzemy udział w przedsięwzięciu, które stanie się bez wątpienia jedną z wielu legend Naszej Wspaniałej Szkoły.

Mam przed sobą kartonowe pudło. Na samej górze leży dziewięć kaset magnetofonowych: dwa stosiki, każdy obwiązany gumką. Na siedmiu z nich widnieje skreślona czarnym długopisem, moim charakterem pisma, adnotacja „Lisa”. Zarejestrowane na nich rozmowy próbują pokazać nieznanne oblicze Martyna, oblicze, którego nie sposób było dostrzec w szkole. Gdyby moja rozmowa z Lisą odbyła się wcześniej, jeszcze przed wydarzeniami w Bunkrze, nie pozwoliłabym, żeby Martyn wykorzystał mnie, żeby wykorzystał nas, w tak perfidny sposób. Dwie pozostałe kasety nie są opisane. Musiało ich być znacznie więcej, ale reszta znikła bez śladu. Pewnie nie dowiedziałabym się z nich niczego nowego, niewykluczone jednak, że dysponując całym kompletem, można by udowodnić, co naprawdę zaszło, pokazać, kim rzeczywiście był Martyn. Niestety, i tym razem udało mu się wyprowadzić nas w pole.

ROZDZIAŁ 9

Dochodziło południe. Mike czuł, jak głód wysysa z niego energię. Do piekącego bólu, który zaczął mu szarpać żołądkiem poprzedniego wieczoru, dołączyło silne, coraz bardziej dające się we znaki pragnienie. Zbliżała się pora lunchu. Mike nie mógł się uwolnić od myśli, że o tym czasie powinni jeść i pić. Oczywiście nie odezwał się słowem. Obiecał sobie, że pierwszy nie wspomni o jedzeniu.

Uczyniła to Liz w imieniu wszystkich.

– Powinniśmy coś zjeść – powiedziała rzeczowo. – Nie za wiele na początek.

Wydzielili z pozostałych zapasów maleńkie porcje – każdy dostał garstkę makaronu, trochę mięsa z puszki i kilka łyków wody. Mike próbował sobie przypomnieć, ile wynosi zalecane dzienne spożycie płynów. Zdaje się, że około dwóch litrów, a oni wypili zaledwie po malutkim kubeczku. Rzadko zdarzało mu się zastanawiać nad tym, co będzie, ale tym razem był ciekaw, kto pierwszy zakwestionuje wielkość otrzymanej racji albo pod byle pretekstem zażąda więcej jedzenia. Mimo iż taki obrót spraw wydawał się nieuchronny, postanowił, że nie przyłoży do tego ręki. Zjedzenie skromnej racji sprawiło jedynie, że poczuł znacznie wyraźniej ssanie w żołądku. Jak na ironię, jedzenie przypominało ze zdwojoną siłą o potrzebie zaspokojenia głodu. Sztuczki, do jakich uciekał się jego organizm, wydały mu się nawet zabawne, niemniej trudno było znaleźć w tym pociechę.

– Jak już stąd wyjdziemy, moglibyśmy pójść razem do jakiejś knajpki – rozmarzyła się Frankie. – Zamówię sobie naprawdę solidne danie... na przykład krwisty stek i cynaderki.

– Przestań – syknęła Alex.

– Och, przepraszam.

Mike nie mógł jakoś uwierzyć, że istotnie jest jej przykro, chociaż miała tak dziwną minę, iż trudno było ocenić, co tak naprawdę myśli.

– Ja po prostu uwielbiam żarcie. Dziwnie się czuję, kiedy nie mam go pod dostatkiem – uśmiechnęła się do siebie. – W domu mamy ogromną zamrażarkę pełną różnych pyszności.

– Zamknij się – nie wytrzymał Geoff. – Jedz gównno, które dostałaś, i wreszcie się

zamknij.

Spojrzawszy na garstkę leżącego przed nią jedzenia, Frankie wzruszyła ramionami.

– Okej.

Do wieczora było jeszcze daleko. Mike żałował, że nie przychodzi mu do głowy sposób na bezpieczne przebrnięcie tych kilku godzin. Wiele by dał, by się dowiedzieć, o czym myśli Liz.

– Przynajmniej wiemy, że nie czekają nas już żadne niespodzianki – odezwał się, usiłując wpleść w swoje słowa nutkę bez troski.

– A co, jeszcze ci mało? – warknął Geoff. – Własnym uszom nie wierzę: może mamy jeszcze szukać pozytywnych stron tej komedii? – Opróżniwszy plastikowy kubeczek, zgniótł go gwałtownym ruchem i cisnął na ziemię. – Obudź się, nie ma żadnych pozytywów. Niedługo umrzemy. Chyba już to do ciebie dotarło, co? Więc zlituj się i nie pieprz mi tu o jakichś niespodziankach.

– To i owo może nas jeszcze zaskoczyć – podjęła Liz, ale nikt jej najwyraźniej nie słuchał.

– Uważam, że się stąd wydostaniemy – wycedził Mike ze złością. Był wściekły na Geoffa. Demaskując beznadziejność ich położenia, jeszcze je pogorszył, a przy okazji przypomniał Mike’owi wszystko, co ten usilnie starał się z pamięci wyrzucić.

– Nieprawda – zaprotestował ostro Geoff. – Oszukujesz się i tyle. Wiesz to równie dobrze jak ja, ona – wskazał na Frankie – Liz czy Alex. Tak naprawdę wszyscy wiecie, niech was szlag, tylko przez własną głupotę nie chcecie pogodzić się z faktami.

Mike’a zatkąło. Wtedy odezwała się Liz głosem tak lodowatym, że z trudem go rozpoznał.

– I swoje zachowanie nazywasz godzeniem się z faktami? – spytała. – Zaraz padnę z wrażenia. Skoro uważasz, że musisz nas dodatkowo raczyć dziecinnymi fochami, ilekroć ktoś coś powie, to życzę powodzenia.

Było widać, że Geoff jest zaskoczony, a w jego spojrzeniu czai się tępy gniew.

– Spadaj, więdźmo – odparował.

Mike przełknął ślinę w oczekiwaniu na reakcję Liz, ona jednak nie odezwała się ani słowem.

Przez jakiś czas rzadkośmy się widywali – to znaczy na początku wakacji. Nie byłam tym specjalnie zaskoczona. Poza tym miałam sporo roboty, zaczęłam poważnie wkuwać do końcowych egzaminów. Na początku nikt się zbytnio nie przejmuje, ale sama wiesz, jak jest...

No więc kiedy zaczęły się ferie wielkanocne, było mi nawet na rękę, że się nie spotykamy. To znaczy, nie było w tym nic dziwnego.

Nie wiedziałam o Bunkrze. Nigdy słowem o tym nie wspomniał, niczym się nie zdradził. Byłam u niego raz czy dwa, ale nie zauważyłam nic podejrzanego, wszystko było jak zawsze... Przecież gdybym wiedziała, co się dzieje, tobym coś zrobiła. Naprawdę. Ale on to wszystko trzymał w tajemnicy – łatwo chyba zgadnąć dlaczego. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko się działo, a ja chodziłam wokół swoich codziennych spraw, o niczym nie wiedząc. Ale przecież nic nie wskazywało, że dzieje się coś złego, z jego zachowania też nie można było niczego wywnioskować, nic nie wskazywało...

Naprawdę chciałam zerwać z Martynem – to znaczy z początku byłam zauroczona, ale ta nowa sytuacja szybko mi się przejadła i potem czułam już chyba tylko przywiązanie do faceta, którego w gruncie rzeczy wcale nie znałam. Nie byłam nawet pewna, czy go w ogóle lubię. Najpierw myślałam, że jest wspaniały, ale jak już mówiłam... wtedy wszystko wydawało się zupełnie inne. Niewykluczone, że lubiłam go bardziej, niż mi się teraz wydaje. Może i tak. Ale wiem też, że nie chciałam już dłużej tego ciągnąć. Miałam nadzieję, że będzie okazała pogadać z nim o tym, ale nie pokazywał się zbyt często.

Wyłączyłam magnetofon i usiadłam wygodnie. To zadziwiające, że mając pełną świadomość tego, co się dzieje, potrafił się zachowywać jakby nigdy nic. Od tamtej pory nie miałam żadnych wątpliwości, że Martyn był ni mniej, ni więcej, tylko kompletnie obłąkany. W jego zorganizowanym, metodycznym szaleństwie próżno by szukać chaotyczności, przez co trudniej je było rozpoznać. Termin „psychopata” nie opisuje jego przypadku nawet połowicznie. Martyn był genialny: niebezpieczny szaleniec obdarzony niespotykaną inwencją i niewiarygodną charyzmą – szaleniec, który doskonale wiedział, jak ukryć swoje szaleństwo. Ciekawe, jakie miał dzieciństwo. O tym okresie jego życia nie wiem kompletnie nic. Dołączył do nas w szóstej klasie. Wiedzieliśmy o nim tyle, że równie dobrze mógłby być przybyszem z kosmosu. Mieszkał z wujostwem w domu położonym parę mil od miasteczka. Te mizerne strzępy informacji stanowiły całą naszą wiedzę o Martynie.

Jaki był w dzieciństwie? Cóż się wydarzyło, że stał się taki, a nie inny? Nie mogłam uwolnić się od myśli, że gdybyśmy znali odpowiedzi na te pytania, to może udałoby się powstrzymać w przyszłości podobnych mu ludzi. Chociaż czy ja wiem?

Kiedy myślę o Martynie, wszystko inne wydaje się mało istotne. I chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, co tak naprawdę kłębiło się w jego głowie – a nieraz próbowałam –

dochodzę często do wniosku, że pomimo dzielących nas różnic jesteśmy do siebie niezwykle podobni. To podobieństwo sięga tak głęboko, iż gdybym miała pewność, że mnie nie złapią, a mój czyn pozostanie anonimowy, nie wahałabym się go zabić. Wiem, co mówię. Te rozważania mają rzecz jasną charakter czysto teoretyczny, a ponieważ daleko bardziej ufam metodom nowoczesnej kryminalistyki niż własnej przebiegłości, nie zamierzam próbować sił w uśmiercaniu ludzi. Niemniej sam pomysł jest nęcący. Zastanawiam się, czy znalazłby się ktoś, kto by zaprzeczył, że bez Martyna świat byłby znacznie lepszy. Jeśli chodzi o mnie, to znam co najmniej cztery osoby, które by nie oponowały.

Tego popołudnia, które ciągnęło się w nieskończoność, zaczęły się walić ściany pozorów. Desperacka wręcz determinacja nie pozwalała mi się poddać i chyba tylko ona trzymała mnie przy zdrowych zmysłach.

– Chryste, ale jestem głodna – jęknęła Alex. – Ile jeszcze do następnego posiłku?

Liz spojrzała na zegarek.

– Zjemy o szóstej, więc półtorej godziny. Potem powinniśmy się przespać.

– Tak wcześnie? – zdziwiła się Frankie.

– Tak. Musimy oszczędzać siły.

Mike leżał na boku, obejmując rękami brzuch. Słyszał odgłosy rozmowy, ale jej treść przelatowała mu koło uszu, bo myślami błądził zupełnie gdzie indziej. Wpatrywał się usilnie w jedną z kieszeni swojego plecaka. Pamiętał, że kiedy się pakował, wrzucił do środka paczkę chipsów – torebka była niebieska, a chipsy miały kształt rurki. Ze względu na towarzystwo reszty nie chciał od razu sprawdzać, czy nadal tam są. Wystarczy jednak poczekać aż wszyscy zasną, a będzie mógł je zjeść bez niczyjej wiedzy. Uśmiechnął się do swoich myśli: zupełnie wypadło mu z głowy, że je zabrał. Z miejsca zaczął sobie wyobrażać ich smak.

– Jestem naprawdę głodna, Liz – skrzywiła się Alex – głodna jak nie wiem co. I nie czuję się najlepiej.

– Jak wszyscy – przypomniała jej Liz. – Jeśli chodzi o mnie, samopoczucie mam gówniane.

Alex uśmiechnęła się blado.

– No... wiem, co masz na myśli.

– Liz ma rację, powinniśmy położyć się wcześniej spać – odezwała się Frankie. – Musimy oszczędzać siły na jutro.

– No pewnie – rzucił lekceważąco Geoff. – A co, złotko, planujesz może brawurową ucieczkę?

– Jaki ty potrafisz być głupi – warknęła.

Alex zadrżała nagle, zaciskając dłonie w pięści.

– Au – jęknęła, a jej twarz wykrzywiła się w żalonym grymasie bólu. – To przestaje być zabawne.

– Co się dzieje? Boli cię żołądek?

Alex kiwnęła żałośnie głową.

– Chyba tak. Cholera, to nie wróży nic dobrego. – Zamrugła i podniosła się z wysiłkiem ze swojego śpiwora. – Niedobrze mi – wystękała, po czym potykając się, ruszyła truchtem w kierunku toalety. Liz, która wydała się Mike’owi śmiertelnie zmęczona, wstała i poszła za nią.

Po chwili z toalety dobiegło głucho postękiwanie wymiotującej Alex. Mike usłyszał głos Liz: „W porządku, wytrzymaj usta, no, już dobrze”. Przez moment było cicho, Alex zakaszłała, potem znowu zaczęły ją szarpać torsje. Mike skrzywił się z niesmakiem na myśl, że dziewczyna nie ma już czym wymiotować. W ich sytuacji opróżnianie żołądka nie było najlepszym pomysłem. Bez trudu zdołał zapomnieć o własnym głodzie na tyle, by jej współczuć.

– Mam dość – oznajmił Geoff. – Jeśli ta pieprzona dieta wywołuje takie skutki, to ani mi się śni czekać.

– Nie! – krzyknęła Frankie widząc, jak Geoff sięga po jedną z otwartych puszek z mięsem. – Tak nie można!

– No to spróbuj mnie powstrzymać – odparł bez cienia emocji. Wyciągnął palcami kawałek mięsa i połknął go, prawie nie gryząc.

– Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy? – Wszystkie głowy zwróciły się w stronę stojącej w drzwiach Liz. Tuż za nią stała wsparta na jej ramieniu Alex, która trzęsła się jak osika. Mike zauważył z odrazą, że na jej prawym policzku widnieją niedokładnie wytarte ślady wymiocin. Geoff zamarł bez ruchu, z ręką wzniesioną ku na wpół otwartym ustom.

– Morderca – rzuciła beznamiętnie Liz.

Do zatłuszczonej dłoni Geoffa poprzyklejały się kawałeczki mięsa. Spojrzał na dziewczynę z niedowierzaniem.

– Coś ty powiedziała?

– Nazwałam cię mordercą – wycodziła. – Jeśli zjesz to mięso, będziesz mordercą. Myślisz, że zasługujesz na nie bardziej niż my? – Zrobiła krok naprzód, zostawiając za sobą uczeponą framugę Alex. – W porządku. Czyją porcję zamierzasz zeżreć? Wybierz kogoś. – Zapadła cisza. – No dalej, wybieraj. – Liz zrobiła jeszcze parę kroków, przesywając Geoffa

palącym spojrzeniem. – Może Frankie? Masz ją przecież gdzieś. Niech sobie zdycha. Mógłbyś wtedy przejąć jej racje. Albo Alex? Nie wygląda najlepiej, co? Może i tak już długo nie pociągnie. Szkoda marnować na nią jedzenie. A co powiesz o Mike’u? Przecież zawsze narzekałeś, że za dużo je. Mógłbyś mu teraz odpłacić z nawiązką. Lepiej, żeby to on głodował zamiast ciebie. A może ja? Czemu nie, jestem słabsza, nie zdołam się obronić. Pewnie za mną w tej chwili nie przepadasz, więc przyjdzie ci to z łatwością, prawda? No dalej, wybieraj. – Liz pchnęła go otwartą dłonią i Geoff potoczył się do tyłu. – Wybieraj albo zacznij się zachowywać jak człowiek. – Liz – odwróciła się na pięcie i poszła z powrotem do Alex. Mike usłyszał, jak znikając za rogiem mówi: – Mam tu trochę papieru toaletowego. Zaraz doprowadzimy cię do porządku.

Pierwszy raz od dłuższego czasu Mike dostrzegł na twarzy Geoffa prawdziwe emocje. Do tej pory wydawało mu się, że czas spędzony w Bunkrze wyssał z niego wszelką wrażliwość. Geoff odłożył jednak puszkę na miejsce i usiadł na swoim śpiworze. Po długiej chwili milczenia podniósł wzrok na kolegów.

– Przepraszam – powiedział cicho.

– Nie ma sprawy – odrzekł Mike.

Wiedział, że to w gruncie rzeczy nieprawda, ale z drugiej strony czuł ogromną ulgę, bo manewr Liz przyniósł oczekiwany skutek. Minęło sporo czasu, nim zaczął sobie uświadamiać, jak ogromną wagę miały jej słowa: jasno i bez ogródek powiedziała na głos to, o czym wcześniej czy później każdy z mieszkańców Bunkra zacząłby po cichu myśleć, rozładowując przy tym nieznośne napięcie, które dawało się wszystkim we znaki. Wystąpienie Liz nie było adresowane wyłącznie do Geoffa. Wtedy jednak Mike w swojej naiwności nie potrafił sobie wyobrazić, że podobne myśli mogłyby się zrodzić i w jego umyśle.

Gdzieś pośrodku tego zamieszania zaczęłam sobie uświadamiać, że czegoś dotąd nie dostrzegałam. W głowie począł mi się stopniowo rodzić pewien pomysł – nic wielkiego, ale zawsze coś. A co dziwniejsze, znalazłam prosty sposób, aby się przekonać, czy mam rację czy też się mylę. Na ostateczny wynik trzeba jednak było poczekać. Niestety, potrzebowałam czasu, a mieliśmy go coraz mniej.

Śmiech i krzyki dzieci bawiących się nad brzegiem rzeki unosiły się lekko w ciężkiej duchocie popołudnia. Mike i ja siedzieliśmy nieopodal z nogami po kostki w sunącej leniwie wodzie.

– Kiedy zabierzesz mnie do Stanów? – spytałam.

– Niedługo. Zaróbmy najpierw trochę forsy, okej?

– Ty się tym zajmij. Ja sobie odpocznę, a potem ewentualnie poddam się biegowi wydarzeń.

– I ty myślisz, że się na to zgodzę? – Machnął w moją stronę ociekającą wodą stopą.

– Hej, przestań!

– Powinnaś ruszyć tyłek i poszukać sobie pracy.

– Nie ma mowy, zbyt dobrze się bawię, jeśli nie liczyć pisania.

– Nie sprawia ci to przyjemności? – Zamyślił się na chwilę. – Domyślam się, że nie.

– To też, ale coraz częściej odnoszę wrażenie, że coś mi umyka... tak jakbym w miarę pisania oddalała się od tego, co zaszło. Najgorzej jest, jak przenoszę się myślami w tamto miejsce, jak odtwarzam w pamięci tamte chwile.

– Chyba rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, rozchlapując wodę stopami jak dzieci.

– No więc o czym teraz piszesz?

– O najważniejszym. Możesz przeczytać całość, kiedy skończę.

– Okej.

– Kocham cię, wiesz?

– Ja też cię kocham. I szanuję – dodał. – Kocham cię za twój genialny umysł.

– Bzdura – zaprotestowałam z udawanym oburzeniem.

– No dobrze, dobrze. Przyznaję, że pożądam wyłącznie twojego ciała.

– No, już lepiej.

– Taak – westchnął. – Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

– Tak wcześnie?

– Muszę zajrzeć do miasteczka, zanim zamkną sklepy.

– Pójdę z tobą.

– A właśnie że nie pójdiesz.

– A to dlaczego?

– Ano jest taki ktoś, kto twierdzi, że za jakieś dwa tygodnie ma urodziny. Ten ktoś nie byłby chyba zadowolony, gdyby nie dostał jakiegoś drobiazgu od pewnej osoby, z którą łączy go niejaka zażyłość. – Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu. – Muszę się tym zająć.

– Aha – mruknęłam, czując przyjemne ciepło w okolicach serca. – To zmienia postać rzeczy.

– Mam nadzieję. Wycieraj nogi, kobieto.

Ruszyliśmy przed siebie ścieżką prowadzącą ku miasteczku, czując, jak w rozgrzanym powietrzu wibruje życie otaczającego nas lasu.

– Napij się – nalegała Liz. – Dobrze ci to zrobi.

Alex potrząsnęła głową.

– Lepiej nie, mogę znowu puścić pawia – powiedziała cicho. – Szkoda marnować wody, będzie nam potrzebna.

– Nikt nie potrzebuje jej w tej chwili bardziej niż ty – odparła stanowczo Liz. – Jak nie będziesz pić, halucynacje masz gwarantowane. – Napełniła do połowy kubek wodą z butelki po lemoniadzie. – Pij małymi łykami – poinstruowała.

Alex zaczęła posłusznie siorbać podany jej płyn.

– Co się ze mną dzieje? – skarżyła się jakby samej sobie. – Dawno się tak źle nie czułam.

– Będzie jeszcze gorzej – powiedziała Liz.

Mike pomyślał, że niepotrzebnie jest dla dziewczyny taka ostra, lecz Alex najwyraźniej nie odebrała jej słów w taki sposób.

– Chyba masz rację – szepnęła.

– Będziesz musiała się zmusić, żeby nie wymiotować – ciągnęła Liz. – Cholera, szkoda, że nie mamy jakichś odżywek w proszku. Wystarczyłoby zmieszać je z wodą i gotowe. Czymś takim można się żywić miesiącami. – Uśmiechnęła się do siebie. – Niejedno by się nam jeszcze przydało.

Patrząc na Alex z kubkiem w ręku, Mike poczuł, jak złość skręca mu żołądek. Woda robiła wrażenie czystej i chłodnej. Sam mógłby pochłonąć galony.

– A co zrobimy... no z tym bałaganem? – zapytała słabym głosem Alex.

– Niewiele możemy zrobić. Nie martw się – westchnęła Liz – wcześniej czy później tak samo by to wyglądało.

Mike skrzywił się z niesmakiem, uświadamiając sobie, że chodzi jej o ubikację – odkąd opróżnili sfluczkę, po wodzie zostało tylko wspomnienie.

– Chyba już pora na małe co nieco – stwierdziła Frankie.

Słyszac to, Mike zmarszczył brwi. W jej głosie dało się słyszeć jakiś dziwaczny ton, którego nie potrafił do końca zidentyfikować.

– Tak, musimy coś zjeść – odparła Liz.

Kolejny raz odprawili powolny rytuał wydzielania racji. Mike wepchnął do ust swoją porcję mięsa i biszkopt tak szybko, jak tylko zdołał, z trudem opanowując odruch wymiotny. Kilka łyków wody splukało mu do czysta gardło, pozostawiając rozpaczliwą ochotę na więcej. Ale to było wszystko, co mógł dostać. Z trudem przełknął ślinę. Ból, jaki poczuł, przypomniał mu czasy dzieciństwa, kiedy często chorował na anginę. Ale migdałków nie ma przecież od dobrych paru lat, więc to nie one były jego przyczyną.

– Od razu mi lepiej – odezwała się Frankie. – Porcja wprawdzie mała, ale nie szkodzi. Niedługo i tak stąd wychodzimy, nie?

– Pewnie tak – odpowiedziała automatycznie Liz, próbując wepchnąć palec w szczelinę w podłodze. Jej włosy nie wyglądały najlepiej: splątane i tłuste opadały ciężkim pasmem na jedno oko. Podnosząc wzrok na kolegów, uśmiechnęła się. – Wyglądacie dość smętnie – zauważyła. – Hej, głowy do góry. Wiem, że jest cholernie ciężko, ale damy radę, zobaczcie. Mamy jedzenie, wodę i światło, mamy towarzystwo. Boże drogi, jest prawie przytulnie, Alex miała rację.

Twarz Alex wykrzywiła się w bladym uśmiechu.

– W dalszym ciągu fatalnie się czuję – wydusiła.

– Nic dziwnego. Napij się jeszcze, ale nie za dużo. – Liz naląła do kubka odrobinę wody. – Masz. Pamiętaj, powolutku.

– Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdziemy – odezwała się Frankie. – Znajdę Martyna i oberwę mu jaja.

– Możesz liczyć na moją pomoc – zawtórował jej Mike. Wydało mu się, że jego głos zabrzmiał fałszywie i niemrawo. Powędrował wzrokiem ku Liz, która odpowiedziała mu promiennym, jasnym spojrzeniem. To, co zobaczył, wprawiło go w niemałe zdumienie: mógłby przysiąc, że w jej oczach dostrzegł błysk rozbawienia.

Stopniowo zbliżamy się więc do finału. Determinacja, którą w sobie czułam, dodawała mi sił, ale inni załamywali się, zapadali w sobie, jakby nie było w nich nic, w czym mogliby znaleźć oparcie. Frankie miała dobry pomysł, jednak to ja chciałam ukręcić Martynowi jaja. Co więcej, zamierzałam dopiąć swego, nie ruszając się z tej piwnicy. Oby się tylko udało. Zrobiłam, co mogłam, zachowując konieczne pozory... Cały czas miałam w głowie tę jedną palącą myśl. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mój plan weźmie w łeb. Gdyby tak się stało, wszyscy byśmy zginęli. Tego chyba nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić.

Pieściłam więc i podsycalam tę myśl, cierpliwie wyczekując odpowiedniej chwili. Wiele od początku wskazywało na to, że mam rację. Tamtej nocy, kiedy zgasiliśmy światło, by udać się na spoczynek, pozwoliłam sobie poczuć przez chwilę cień nadziei. Musi się udać. Nie ma innego wyjścia.

I chociaż to przeświadczenie chroniło mnie niczym pancierz przed zwątpieniem, które mogła przynieść noc, czułam się nadal jak przerażone, samotne dziecko.

ROZDZIAŁ 10

Gdy już oddechy reszty grupy przycichły do ledwo słyszalnego szmeru, Mike uniósł się powoli na jednym łokciu. Plecak zostawił otwarty, więc bez trudu wsunął rękę do środka, szukając foliowej torebki, która gdzieś tam była. Oczekiwanie na tę chwilę, kiedy inni przewracali się z boku na bok, mamrotali pod nosem, zmieniali pozycje, wydawało się wiecznością. Ale teraz miał pewność, że nikt go nie usłyszy.

Jak na złość nie mógł znaleźć torebki. Zniecierpliwiony, zaczął nieco energiczniej przetrząsać zawartość plecaka. Wymacał kilka zmiętych koszul i nic więcej. Gdzie się podziały te cholerne chipsy? Przy trzecim podejściu poczuł, jak zaczyna w nim wzbierać palący gniew. Może wypadły? Albo ktoś je zwędził?

Wreszcie przypomniał sobie, co się stało i bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Przecież dał je na samym początku – najprawdopodobniej pierwszego wieczoru – Geoffowi. Przez dłuższy czas leżał w niewygodnej pozycji, wpatrując się w otaczającą go ciemność i przeklinając po cichu własną głupotę. Całe popołudnie upłynęło mu na oczekiwaniu chwili, kiedy sięgnie po te zapomniane, ukryte w bezpiecznym miejscu chipsy. Wyobrażał sobie, jak będą smakować i jakie wrażenie pozostawią na języku. Co za idiotyczna pomyłka.

Czując, jak ktoś delikatnie ociera się o jego ramię, zamarł bez ruchu.

– Kto to?

– To ja, Liz – wyszeptała. – Musimy pomówić. Dasz radę dojść do tej wnęki za rogiem, nie budząc nikogo?

– Tak, chyba tak.

– Przyjdę za chwilę.

Mike skierował się po omacku w stronę drzwi. Przesuwając palcami po ścianie korytarzyka, odnalazł wejście do pomieszczenia, o którym mówiła Liz. Po chwili usłyszał za sobą jej kroki. Usiedli na podłodze w kompletnej ciemności.

– Te spotkania wchodzą nam w krew – szepnął Mike.

– Myślałam, że śpisz. Bałam się, że będę cię musiała budzić. Co robisz?

– Łudziłem się, że zostało mi trochę jedzenia. Chciałem się do niego dobrać, kiedy wszyscy zasną. Cholera jasna. – Potarł wierzchem dłoni zmęczone oczy. Czuł się, jakby ktoś nasypał mu pod powieki piasku. Przed oczami zaczęły mu tańczyć chmary kolorowych punkcików. – Wiem, jak to wygląda, ale jedynie ta myśl dodawała mi sił. A tu się okazuje, że łudziłem się na próżno.

– Hm.

– Strasznie mi głupio, ale z drugiej strony ja też jestem głodny. I chce mi się pić.

– Nie obwiniaj się – uspokoiła go Liz. – To zupełnie normalne. Dam sobie rękę uciąć, że wszystkim chodzą po głowie takie myśli.

– A ja się założę, że ty jesteś wyjątkiem – zaproponował posepnie Mike. – Jesteś na to zbyt doskonała.

– Tak? No to patrz i się ucz – prychnęła Liz. – Masz. – Złapała go za ramię, wciskając mu do rąk butelkę.

– Co to jest?

– Woda. Wypij połowę. Tamci o niej nie wiedzą, więc spokojna głowa.

Mike przypiął się łąpczywie do butelki, w końcu z trudem oderwał ją od ust.

– Cholera, to zdumiewające. Czuję nawet jej zapach. Jest wspaniała. Skąd wytrzasnęłaś tę butelkę?

– Odłożyłam ją sobie już jakiś czas temu – rzuciła bez troski Liz. – A teraz proszę o zwrot. Też chciałabym się napić.

– Jasne. – Mike z ciężkim sercem oddał jej butelkę.

– No, to rozumiem – zamruczała po wypiciu swojej części.

– Dlaczego się ze mną podzieliłaś? – dopytywał się Mike.

– Co?

– Słowo daję, że gdybym znalazł te chipsy, to nie sądzę... nie, jestem pewien, że z nikim bym się nie podzielił. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Poza tym jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda?

– Mówisz serio?

– Chyba tak.

– To dobrze – ucieszył się Mike. – Ja też tak uważam.

– Myślę, że każdemu z nas przydałby się teraz przyjaciel – powiedziała Liz z zadumą.

– To jeszcze nie koniec.

– Naprawdę wierzysz, że to się kiedyś skończy? – spytał. – Dużo o tym myślałem. Nie wydestaniemy się stąd. Martyn po nas nie wróci. A to znaczy, że czeka nas śmierć.

– Wiem, o czym myślisz. Może masz rację, ale... widzisz, codziennie właściwie bez przerwy odkrywam coś nowego. I... chyba wpadłam na pewien bardzo ważny szczegół. Ty się do tego też przyczyniłeś.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, jak przewidzieliśmy, że odetnie nam wodę?

– Tak, i to aż nazbyt dobrze.

– Okej. Powiedziałaś wtedy, że wiem, jaki będzie następny etap, bo uzmysłowiły mi to moje własne słowa, tak?

– Zgadza się. Czuję coś na kształt *déjà vu* – przytaknął Mike.

– Słuchaj uważnie. Długo o tym myślałam. Czy nie wydaje ci się dziwne, że ledwie napomknęłam, jak długo można obywać się bez jedzenia, niemal natychmiast pozbawiono nas wody?

– Jeśli taki miał być następny etap eksperymentu, to co za różnica, czy domyśliłaś się przed faktem czy po fakcie? – Mike wzruszył ramionami. – Tak czy siak wprowadziłby go w życie.

– Hm, nad tym się właśnie tak ciężko zastanawiałam. A potem powiedziałaś coś... to znaczy wspomniałaś, że dziurka od klucza do ciebie mrugnęła. Szczerze mówiąc słuchałam wtedy jednym uchem, ale te słowa zapadły mi w pamięć. Co dokładnie widziałaś?

Mike zaszurał nogami, nieco speszony pytaniem.

– Właśnie zasypiałem – wyjaśnił niepewnie. – To nie było nic ważnego.

– Chcę wiedzieć, co widziałaś – nie dawała za wygraną.

– Po prostu... może to głupio zabrzmieć, ale wydawało mi się, że nasza gwiazda zgasła na chwilę, a zaraz potem na powrót rozbłysła. Zupełnie jakby mrugnęła.

– Jakby coś ją na chwilę przesłoniło?

– Chyba tak.

– Jakby ktoś stanął na chwilę za drzwiami?

Mike siedział bez słowa, a w jego głowie kłębiła się plątanina pomysłów i wniosków.

– Tak mogło rzeczywiście być. Ale czemu...

– Posłuchaj, wydaje mi się, że to był Martyn. Jestem tego prawie pewna.

– Mój Boże, w takim razie to potwór. Co on tam robił?

– No właśnie. I na to chyba wpadłam. Wystarczyło wspomnieć, że o samej wodzie można długo przeżyć, a odcięto nam jej dopływ. To proste: przyczyna i skutek.

– Co ty mówisz? – Mike zmarszczył brwi, próbując nadążyć za słowami Liz. Pośród kompletnych ciemności nieomal widział jej rozjaśnioną z podniecenia twarz.

– On nas słyszy, Mike. I tyle. Jestem przekonana, że nas słyszy.

– Nawet w tej chwili? – wyszeptał z przerażeniem.

– Raczej nie. To chyba dotyczy tylko głównego pomieszczenia.

– Myślisz, że wystaje całymi dniami z uchem przy drzwiach?

– Nie bądź głupi – rzuciła bez zastanowienia. – Jasne, że nie. Musi się kręcić po okolicy, pokazywać między ludźmi. Ale zastanów się: przecież wymyślił Bunkier. Ten niewiarygodny majstersztyk to jego dzieło. Sądziś, że usiedziałyby spokojnie w domu, nie wiedząc, co się tu dzieje? Wątpię. Na pewno jest ciekaw, kto się pierwszy załamie albo czy pozabijamy się nawzajem, zanim nadejdzie koniec, i wreszcie kto wytrzyma najdłużej. Nigdy nie zamierzał po prostu nas porzucić. Jesteśmy dla niego zbyt ważni.

– I myślisz, że nas słyszy?

Liz wzięła głęboki oddech.

– Wydaje mi się, że w głównym pomieszczeniu założył pluskwy, podsłuch czy jak to się tam nazywa. Rejestruje na taśmie wszystko, co się tam dzieje. To, co widziałeś... ta mrugająca dziurka od klucza... to był cień kogoś, kto przyszedł odebrać kolejną taśmę. Najprawdopodobniej Martyn. Nie sądzę, żeby wtajemniczył w to kogokolwiek. A ty? Jak uważasz?

– Chyba nie – odparł Mike. Czuł się kompletnie oszołomiony. – I tego wszystkiego się domyślałaś?

– Wiem też, jak sprawdzić moją teorię. Właśnie dziś zarzuciłam przynętę, więc wkrótce się dowiemy, czy wpadłam na właściwy trop czy też jestem stuknięta, a ty masz halucynacje.

– Okej – ucieszył się Mike. – Jak to zamierzasz sprawdzić?

– Liczę na to, że zdążyłam już Martyna zirytować – wyjaśniła. – Jeśli spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia, to pokrzyżowałam mu plany. Tak mi się wydaje. Być może widzi też we mnie ciekawy przypadek. Tak czy siak, zamieszanie z wodą i butelkami na pewno zwróciło jego uwagę. Dzisiaj rzuciłam niedbale parę słów, jak to powinniśmy być wdzięczni, że nadal mamy jedzenie, wodę i światło. Jeśli dał się na to złapać, to czego nas teraz pozbawi?

– Światła – skonstatował Mike.

– Właśnie. Ja też tak myślę. Jeśli naprawdę nas podsłuchuje, to sądzę, że jutro wyłączy prąd.

– To nie będzie przyjemne. – Mike pokręcił głową.

– Mnie się ta perspektywa też nie uśmiecha, ale od tego nie umrzemy. No i

przynajmniej przekonamy się, czy mieliśmy rację.

– A co potem? Spróbujemy się z nim targować czy zaczniemy błagać, żeby nas uwolnił?

Liz milczała przez chwilę.

– Myślisz, że coś tym wskóramy?

Mike zamyślił się na moment.

– Nie – przemówił w końcu. – Z Martynem to nie przejdzie.

– Zgadzam się. Będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość... a jeśli okaże się, że faktycznie nas podsłuchuje, to wtedy pomyślimy, co dalej.

– Zastanowisz się nad tym? – spytał Mike.

– No jasne. Ty też pogłówkuj.

– W porządku.

– Musi być jakieś wyjście – mruknęła prawie do siebie Liz. – Musimy je tylko znaleźć.

Siedziałam w fotelu, ściskając w dłoni kasetę magnetofonową. Tak łatwo można by spalić albo zmiażdżyć to niewielkie plastikowe pudełko. Tak łatwo można by się go pozbyć. Niemniej nawet zniszczenie taśmy nie unicestwi zapisanej na niej historii, bo ta przydarzyła się żywym ludziom.

Delikatnie odłożyłam kasetę na miejsce. Jeszcze nie czas. W głębi duszy czuję nieodpartą chęć, by się zatrzymać – właśnie w tym miejscu, bo najgorsze chwile dopiero przede mną. Ale i te najlepsze czekają na swoją kolej, a historia musi znaleźć swój finał.

To była dla Mike'a długa noc, z trudem w końcu zasnął. Nękany na zmianę przez koszmary i marzenia senne, nie mógł ich chwilami rozróżnić. Sam już nie wiedział, czy sen o ucieczce, w którym wydostaje się z Bunkra na słońce i świeże powietrze, nie jest tak naprawdę koszmarem. W pewnym sensie nienawidził Liz za to, że obudziła w nim choćby cień nadziei w momencie, gdy już zaczął się godzić z perspektywą śmierci. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem zaświtała mu w głowie myśl o umieraniu; w jego wieku nie miewa się takich refleksji. A teraz od śmierci dzieliły go nie dziesiątki lat, ale dni. Kilkakrotnie w ciągu nocy słyszał jakieś głosy – żaden nie należał do jego kolegów. Z coraz większym trudem radził sobie z tym wszystkim. Z jednej strony nie chciał, żeby otaczająca go ciemność trwała przez cały dzień, z drugiej zaś – o ironio – pragnął, by światło zgasło na dobre. No bo jeśli Liz ma rację, to może jest dla nich ratunek.

Zaczął się kolejny dzień. Mike nie spał już od dłuższego czasu – wydawało mu się, że wieki całe. Gwiazda nad jego głową jarzyła się bladym i rachitycznym, ale nieprzerwanym blaskiem.

Reszta grupy wyczołgiwała się ze śpiworów, strząsając z siebie resztki snu; Geoff zapalił światło. Jego blask oślepił Mike'a, który oczekiwał, że żarówka nie zadziała. Natychmiast spojrzawszy na Liz, w której podkrążonych oczach zobaczył odbicie nagiej szklanej bańki.

Mike powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy, czując coś na kształt współczucia. Wyglądali szaro i posępnie. Na czole Alex wykwitła gromadka sporych pryszczycy. Geoff, który zawsze nosił się prosto, siedział niczym kupa nieszczęścia w rogu piwnicy. Wyglądali jak bezduszna parodia wyrzutków społecznych, dzieci ulicy. Mike zastanawiał się, jak długo jeszcze pociągną, jeśli nie ma drogi ucieczki. rząd ustawionych pod ścianą butelek wyglądał krzepiąco tylko do momentu, kiedy się policzyło, w ilu z nich jest woda. Większość była pusta. Może dla jednej osoby taki zapas mógłby być źródłem nadziei, ale dla pięciorga?

– Muszę umyć zęby – odezwała się Frankie. – W ustach mam jak w trampku.

– Nie możesz – powiedziała Alex. – Nie mamy dość wody.

– A ja idę się wysrać – ogłosił wszem wobec Geoff, podnosząc się z miejsca.

– Kiedy stąd wyjdziemy? – spytała Frankie. – Liz? Kiedy wyjdziemy?

Odpowiedziała jej cisza.

– Pamiętasz to wszystko? – dopytywałam się.

– Tak, aż za dobrze – uśmiechnął się. – Przestraszyłaś mnie wtedy, wiesz?

– Wiem, ja też się bałam. Ale to było nieuniknione.

– Chwilami w pewnym sensie nadal mnie przerażasz.

Zmieszałam się na te słowa.

– W jakim sensie?

– No wiesz... Kiedy jesteś tu ze mną, wydajesz się całkiem zwyczajna. Większość ludzi taką właśnie cię zna. Ale to przecież nie jest cała prawda. W Bunkrze poznałem cię z zupełnie innej strony.

– Każdy z nas dowiedział się czegoś o sobie – zgodziłam się. – Możesz podziękować za to Martynowi, jeśli masz ochotę.

– Raczej średnią – pokazał zęby w sztucznym uśmiechu. – Nie czuję wobec niego za grosz wdzięczności.

– A nie zapomniałeś o czymś?

– Mianowicie...?

– Ze nie siedzielibyśmy tu razem, gdyby nie Martyn. Pewnie każde z nas poszłoby w swoją stronę.

– A może nie – rzucił przekornie. – Całkiem możliwe, że byśmy się odnaleźli w szkole.

– Och, mało prawdopodobne – odrzekłam z uśmiechem. – Przecież ja byłam, pozwól, że zacytuję, „byłam zawsze jakaś dziwna i trzymałam się z boku”.

– A ja wydawałem się „ogólnie niedojrzały i durnowaty”.

– No właśnie. – Przez chwilę suszyliśmy zęby w duecie. – Więc przynajmniej za to powinniśmy być mu wdzięczni.

– Rany, dzięki, stary.

– Lepiej się pilnuj – rzuciłam ostrzegawczo. – Nie zapominaj, że jestem kompletnie nieprzewidywalna.

– I to właśnie w tobie kocham.

To się zdarzyło około południa.

– Kiedy coś zjemy? – spytała Alex.

– Jak się czujesz? – zagadnął ją Mike.

– Chyba lepiej. Mam wrażenie, że jestem... jakby kompletnie pusta w środku. Hm, w tej chwili chyba rzeczywiście niewiele tam mam – uśmiechnęła się blado. – Właściwie już mi wszystko jedno.

– Powinnaś coś zjeść – zdecydowała Liz. Była w połowie drogi do kupki jedzenia, które jeszcze mieli, gdy rozległo się metaliczne kliknięcie i Bunkier momentalnie pogrążył się w całkowitej ciemności.

– Kto to zrobił? – jęknęła Alex niepewnie. – Geoff? Zapalże to światło.

– To nie ja – zaperzył się Geoff. Wszyscy usłyszeli, jak pstryka tam i z powrotem wyłącznikiem. – Zdechło i tyle – powiedział, wciągając ustami powietrze co zabrzmiało prawie jak szloch. – Pięknie, kurwa, pięknie. Kompletnie nic nie widzę.

– My też – zauważyła Liz.

Mike nie miał pewności, czy to jego wyobraźnia czy też naprawdę słyszy w jej głosie ton triumfu.

– Może to znaczy, że żarówka się przepaliła? – spytała Frankie z lekkim zdziwieniem.

– Obudź się, kobieto – rzucił szorstko Mike. – Logiczne, że się przepaliła.

– Aha.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – powiedziała cicho Alex. – Zupełnie jak koszmar, z którego nie można się obudzić. Jak nie jedno, to drugie.

– Trudno, mimo wszystko trzeba coś zjeść – oznajmiła Liz. – To w końcu tylko przepalona żarówka. Jeśli w butli został jeszcze gaz, możemy na czas posiłku uruchomić kuchenkę. Przynajmniej coś będzie widać.

– Dobra – podchwycił Geoff. – Gdzieś tu były zapalniczki... o, mam.

Kiedy włączyli palnik, mizerny płomyk rzucił na ich twarze bladoniebieską poświatę. Dochodziła pierwsza po południu. Jak zwykle wydzielili skromne racje. Mike poczuł ze zdziwieniem, że jego głód nieco zelżał. Było dokładnie tak, jak mówiła Alex: nadal czuł w żołądku dojmujące pieczenie, ale coraz łatwiej przychodziło mu je ignorować, spychać na margines myśli. To było przedziwne doświadczenie: jakby umysł i ciało nagle postanowiły wziąć rozwód. Mike przyjął ten nieznany stan z zadowoleniem, coraz ciężiej bowiem przychodziło mu opanowanie głodu.

Powietrze w Bunkrze stało się dość nieprzyjemne. Fetor dochodzący z toalety zaczynał opanowywać także główne pomieszczenie.

Zjedli swoje żałośnie małe porcje, popijając je odrobiną letniej wody. Mike był mile zaskoczony, kiedy odkrył, że już nie zwraca uwagi na to, co mu dają. Zjadł oczywiście przydzieloną rację, doskonale wiedząc, że jego ciało nie wytrzymałoby długo bez pożywienia. W końcu wyłączyli kuchenkę.

– Jest tak ciemno – wyjęczała Frankie.

– Co z nią? – irytował się Geoff. – Dłużej tego nie wytrzymam. Tak, jest ciemno, głupia krowo, bo wysiadło światło. Kapujesz?

– Nigdy nie mówiłam, że chcę wziąć w tym udział! – wykrzyknęła nagle Frankie. – To nie był mój pomysł! Nigdy nie mówiłam, że chcę. Mogłabym teraz siedzieć sobie w domu. Mogłabym jeść, co dusza zapragnie, rozumiecie? – Mike usłyszał, jak Liz podnosi się z podłogi. – To nie był mój pomysł! – wrzeszczała Frankie. – Czemuście mi pozwolili wpakować się w to gówno? – Jej krzyk przerodził się w ochrypy skrzek. Nagle rozległo się krótkie pacnięcie i brzęk tłuczonego szkła.

– Zamknij się – warknęła Liz. – Uspokój się i zachowuj rozsądnie.

Usłyszeli odgłos jeszcze jednego policzka, a potem cichy płacz Frankie.

– Co za bagno – skrzywiła się Liz z odrazą. Włączyła latarkę, która rzuciła przyćmione światło na twarze unoszące się jakby w powietrzu niczym maski. – Właśnie rozwaliałaś butelkę z wodą – dodała. – Pewnie jesteś z siebie dumna.

Twarz Frankie była kompletnie wyprana z koloru, jeśli nie liczyć czerwonej plamy,

która wykwitła w miejscu, gdzie Liz ją uderzyła. Reszta grupy gapiła się z przerażeniem w oczach na nią i potłuczone szkło, wokół którego tworzył się coraz większy mokry kleks.

– Nikt mnie nigdy nie bije... – podjęła Frankie, ale zanim skończyła zdanie, Liz uderzyła ją ponownie z głuchym, twardym plaśnięciem.

– Może to błąd – powiedziała. – A teraz siadaj.

W głosie Liz pobrzmiwał nie znoszący sprzeciwu ton. Frankie zawahała się, przez chwilę myśleli, że nie posłucha, ale w końcu raptownie usiadła. Mike wpatrywał się ze zdumieniem w Liz, nie wiedząc, co ją napadło. Nigdy wcześniej nie mówiła ani nie zachowywała się w taki sposób. Czyżby zaczęła świrować?

– Mam już tego dość – rzuciła. – Muszę was nieustannie trzymać za rękę, mówić, co macie robić, sprzątać wasze brudy, wbijać do głów, że wszystko będzie w porządku. Gardłem mi to wychodzi. – Odwróciła się na pięcie, podeszła do ustawionych rzędem butelek z wodą i stopą zgarnęła potłuczone szkło na mokrą kupkę. – Jesteście jak rozwydrzone bachory – dodała. – Czy naprawdę nie potraficie ani na chwilę się sobą zająć?

Zapadła niezręczna cisza.

– To nie takie proste – odezwał się Mike. – Może nie zauważyłaś, ale tkwimy tu jak kołki w płocie. Pewnie w ogóle się stąd nie wydostaniemy. Martyn nie zamierza nas wypuścić. A może zaprzeczysz?

Liz nawet na niego nie spojrzała.

– To, że nas nie wypuści, jest akurat oczywiste – odparła lodowato i ruszyła w stronę swojego śpiwora. Po drodze jej spojrzenie zatrzymało się na moment na Mike'u, który zauważył ze zdumieniem, że niepostrzeżenie puściła do niego oko.

ROZDZIAŁ 11

Po południu zrobiło się jeszcze gorzej. Mike siedział w przesyconych smrodem ciemnościach świadom, że raz po raz zdarza mu się wymykać po cichu z Bunkra i błąkać po jakiejś przedziwnej krainie snów, gdzie wszystko dobrze się kończy. Światło wydawało mu się zawsze tak elementarnym warunkiem istnienia, że jego brak okazał się znacznie dotkliwszy, niżby kiedykolwiek przypuszczał.

Ilekoć zdarzało się, że przytomniał na dłuższą chwilę, martwił się zachowaniem Liz. Nie potrafił dojść przyczyny jej wybuchu, a ponadto nie wszystko, co powiedziała, był w stanie sobie wytłumaczyć. Co ona u licha knuje? Mrugnęła do niego, próbując mu najwyraźniej dać do zrozumienia, co się dzieje, ale nie umiał rozszyfrować tej wskazówki.

– Ale ciemno – rozległ się głos Frankie.

– Zwariowała – nie wytrzymał Geoff. – Najzwyczajniej padło jej na mózg. Hej, Frankie, mogłabyś się przymknąć?

– Ona się po prostu boi – powiedziała Alex. – Wszyscy się boimy.

– Nie chce umierać – skarżyła się Frankie.

– Będzie dobrze – uspokajała ją Alex. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– A może by już nareszcie skończyć z tym udawaniem?

Mike czuł się nieswojo, wiedząc, że wszystko, co mówią, prędzej czy później usłyszy Martyn. Czy zachowanie Liz to element gry? A jeśli tak, czemu miał służyć ten nie pasujący do niej atak na kolegów? W końcu doszedł do wniosku, że musi się dowiedzieć choćby tylko po to, by przez przypadek nie pomieszać jej szyków. Bardzo powoli i niemal bezszelestnie zaczął przesuwać się w kierunku miejsca, które zwykle zajmowała.

– Po co wmawiać sobie i innym, że wszystko będzie dobrze? To bez sensu – kontynuował Geoff. – Wszyscy wiemy, że to brednie.

– A co innego nam pozostało? Nie wiem, co robić – westchnęła Alex. – Może powinniśmy się pomodlić.

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Myśl sobie, co chcesz – odparowała. – Nie jesteś w stanie nas stąd wydostać. Ja też nie potrafię. Nic nie możemy zrobić.

– Ktoś nas wypuści – zabrzmiał znowu głos Frankie.

Mike wymacał w końcu brzeg śpiwora Liz. Zrobił jeszcze krok i jego ręka spoczęła na ramieniu dziewczyny, która nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale niemal natychmiast przysunęła się bliżej.

– Co się dzieje? – wyszeptał najciszej, jak mógł.

Niemal w tej samej chwili odezwała się Alex:

– Chciałabym się zobaczyć z rodzicami. Mam im tyle do powiedzenia... jak pomyślę, że...

– Zachowuj się jakby nigdy nic – odrzekła ledwo słyszalnym szeptem Liz. – Myślę, że mój plan się sprawdzi.

– Moi starzy mają mnie w dupie – stwierdziła Frankie, a Mike ze zdziwieniem usłyszał w jej głosie echo dawnego zdecydowania. – Gdyby im choć trochę zależało, to już dawno by nas odnaleźli i uwolnili. Po prostu oboje się na mnie wypięli.

– Przecież nie wiemy, gdzie jesteśmy – zauważyła Alex. – Nikt tego nie wie. Myślę, że może powinniśmy napisać parę zdań... Na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego? – warknął Geoff.

– Przestań – poprosiła cicho Alex. – Nie czuję się najlepiej. Nawet do ciebie powinno to już dotrzeć. A poza tym... pewnie nie zostało mi zbyt dużo czasu. Boję się, więc daj mi spokój.

Wtedy odezwała się Liz.

– Przestań jęczeć – powiedziała.

– Liz... – zaczął Mike.

– O nie, tylko nie próbuj jej bronić. Na litość boską! Raptem przez kilka dni jadła mniej niż zwykle, a już wykoncypowała, że umiera.

– Przyjrzałem się jej przy lunchu. Naprawdę źle wygląda – zaprotestował Mike z nadzieją, że dobrze gra swoją rolę.

– Myślisz, że ty się lepiej prezentujesz? – ucięła Liz. – Ale na szczęście nie zamęczasz wszystkich swoim biadoleniem.

– Zamknij się – syknął jadowicie Geoff. – Nie musimy znosić takich gadek.

– Tych kilka dni, które tu razem przesiedzieliśmy, wiele mnie nauczyło – nie dawała za wygraną Liz. – Wierzyć mi się nie chce, jak łatwo was złamać.

– Przecież nie możemy nic zrobić! – wrzasnął Mike. W jego głosie zabrzmiał chyba

ton autentycznej desperacji, bo Liz pozwoliła mu kontynuować. – Nie ma żadnej drogi ucieczki, prawda? Kompletnie żadnej. Po co się łudzić, że ktoś nas przez przypadek znajdzie, skoro od lat nikt tu nie zagląda?

– Święte słowa – prychnęła Liz z politowaniem. – Lepsze byłoby tylko prawdziwe więzienie, co? Macie rację, Martyn dobrze to obmyślił, można mu tylko pogratulować. Ale nawet on nie jest doskonały. Daleko mu do tego. No i popełnił pewien błąd.

– Jaki błąd? – odezwał się Geoff z nagłym zainteresowaniem w głosie.

– Nie tak szybko. Zastanówmy się najpierw, dlaczego tu jesteśmy.

– Własnym uszom nie wierzę – wycedziła Alex. – Czy ty nie możesz wreszcie przestać głądzić w kółko o jednym i tym samym?

– Poczekaj – wtrącił Mike. – Chcę usłyszeć, co Liz ma do powiedzenia.

– Martyn powiedział, że bierzemy udział w eksperymencie z rzeczywistością, a to głównie prawda – zauważył Geoff.

– O, jakież ty jesteś spostrzegawczy – zasyczała Liz. – A zadałeś sobie pytanie, dlaczego tak łatwo dałeś się nabrać, skoro na kilometr było widać, że facet łąze jak pies?

– Daruj sobie – odparował Geoff. – Nie zapominaj, że ty też tu jesteś.

– Jest pewna różnica – zauważyła Liz z przekąsem. – Wy nie macie bladego pojęcia, co się dzieje. Mike spuściłby wodę, opróżniając przy tym zbiornik, gdybym go nie powstrzymała. Nie tak dawno Frankie wpadła w histerię i rozwalila butelkę z wodą. Alex jest przekonana, że umiera, a ty, fiutku, nadal próbujesz się kreować na kogoś lepszego, tratując po drodze innych.

– Ty zasrana bohaterko! – wrzasnął dziko Geoff, zrywając się z miejsca. – Myślisz, że jesteś genialna, co? Gówno prawda. Jesteś tak samo udupiona jak my wszyscy. I wiesz, co ci powiem? Bardzo się cieszę. Słowo daję. Pociągnę wystarczająco długo, żeby usłyszeć, jak skrzeczysz z przerażenia. Jeszcze narobisz w majtki ze strachu. Zrozumiałaś?!

– To dopiero będzie przeżycie – odparła Liz. – Życzę przyjemnego czekania.

– Ty zdziro! – ryknął Geoff, po czym rozległo się w ciemności gwałtowne szuranie. Mike poderwał się na równe nogi, ale miejsce, gdzie siedziała Liz, było puste.

Po chwili z przeciwległego krańca piwnicy dobiegł ich uszu jej nieco zdyszany głos.

– Na twoim miejscu nie zabierałabym się do bicia – rzuciła ostrzegawczo. – Chyba nie chcesz sobie zepsuć prasy? Zachowuj się jak dżentelmen, a twoje żalosne ego będzie mogło liczyć na pełne uznanie.

– Co ty pierdolisz? – Geoff zatrzymał się w pół kroku.

Mike słyszał, jak krew pulsuje mu ciężko w skroniach.

– Nie zdechniesz tu – odparła Liz z pogardą. – Wyjdziemy stąd jutro o jedenastej, chociaż na to nie zasługujesz.

– O czym ty gadasz? – powtórzył Geoff nienaturalnie spokojnym głosem.

– Czuję się, jakbym przesiedziała kilka dni w zagrodzie z bydłem – mruknęła. – Zapamiętaj sobie, że gdyby nie ja, tobyście tu pewnie pozdychali.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Tym razem odezwał się Mike. – Jak to jutro stąd wychodzimy?

– Martyn nieźle kombinował, ale popełnił zasadniczy błąd. Nie powinien był wciągać mnie w ten żaloszny eksperyment – prychnęła. – Powzięłam... jak by to powiedzieć... pewne środki ostrożności. No i mam go.

– To znaczy?

– Nie zadowolę się tym, że stąd wyjdziemy – powiedziała Liz z zadumą. – O nie. Chcę go przy okazji dorwać, niech zamkną gnoja na dobre. On tam sobie w najlepsze zgrywa grzecznego chłopczyka, a my tu umieramy z głodu. Nie najlepiej to o nim świadczy, co?

– Ale przecież nikt nie ma o tym pojęcia – zauważył Mike, z coraz większym trudem nadążając za Liz.

– I tu się mylisz, podobnie zresztą jak Martyn – oświadczyła.

W Bunkrze zapanowała grobowa cisza.

Pierwsza odezwała się Alex.

– Ktoś wie, że tu jesteśmy? Kto?

– Czy wy rzeczywiście myślicie, że bym się pakowała w coś takiego bez przygotowania? – roześmiała się Liz. – To zupełnie nie w moim stylu. Oczywiście, że na zewnątrz jest ktoś, kto wie. Jutro o jedenastej zabieramy się stąd. I co wtedy zrobi Martyn? Nasze słowo przeciwko jego. Nie będzie miał żadnych wymówek, alibi, nic.

– Na litość boską, jak na to wpadłaś? – spytał Mike, zdumiony, a jednocześnie pełen podziwu dla jej przebiegłości.

– Wydaje mi się, że Martyn i ja jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż przypuszczacie – odparła Liz bez zająknięcia. – A poza tym to było dość oczywiste. Zaczynam teraz rozumieć, dlaczego tak łatwo noga mu się powinęła. Jeśli myśli, że wszyscy są równie naiwni jak wy, to mógł być spokojny, że numer z Bunkrem wypali. Ale już wam powiedziałam: popełnił błąd.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Geoff. – Twierdzisz, że jesteśmy bezpieczni i że jutro stąd wyjdziemy?

– Głuchy jesteś czy co?

– I od początku wiedziałaś, że tak będzie... – mówił bardzo wolno Geoff.

– No właśnie – wtrącił się Mike. – Dlaczego u licha nikomu nie powiedziałaś?

Liz westchnęła ciężko.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to byłam bardzo ciekawa waszych reakcji. Nie popisaliście się raczej, co?

– Ale to... to potworne.

– Nie waż się mnie osądzać – warknęła w jego kierunku Liz. – Bądźcie wdzięczni, że ujdziecie z życiem. Byłoby z wami marnie, gdyby ktoś nie pomyślał za was. – Wydała z siebie niski, nieprzyjemny rechot. – Będzie jeszcze żałował, że próbował na mnie swoich żalonych sztuczek.

– Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotała do siebie Alex. – Naprawdę stąd wychodzimy? I wszystko będzie dobrze?

– Wiedziałaś – triumfalnie obwieściła Frankie. – Wiedziałaś, że się stąd wydostaniemy.

Liz zapaliła latarzkę.

– Możemy spokojnie zjeść to, co jeszcze zostało – powiedziała, omiatając chybotającym snopem światła resztki jedzenia i wody.

– Możemy jeść... – wykrztusił z niedowierzaniem Mike. – Naprawdę możemy jeść? Jesteś pewna? – spytał, lecz w jego oczach Liz zobaczyła znacznie poważniejsze pytanie.

– Powiedziałaś już, nie dosłyszałeś? – rzuciła na odczepnego, ale zanim odwróciła wzrok, nieznacznie skinęła głową.

Mike przygryzł z wrażenia wargi. Wydawało mu się, że wie, w czym rzecz. To był imponujący i wyjątkowo niebezpieczny blef. Musiała go przekonująco zagrać. Ciągłe nie dowierzając, że to wszystko dzieje się naprawdę, dołączył do kolegów, którzy rozdrapywali w ogólnym rozgardiaszu resztki jedzenia i picia.

– Tylko nie wypijcie całej wody – poprosiła nagle Liz i przez chwilę Mike bał się, że przez tę przesadną ostrożność gotowa wszystko popsuć. Jednakże kiedy dodała: – Chcę jutro rano umyć zęby – uśmiechnął się z ulgą i wychylił kolejny kubek chłodnego płynu.

– W jedno tylko trudno mi uwierzyć – oznajmił niespodziewanie Geoff.

– W co mianowicie?

– Że się wcześniej nie przyznałaś – odparł. – Nikomu nie pisnęłaś ani słowa. Pomyśleć, że spokojnie sobie siedziałaś obserwując, jak próbujemy oswajać się z myślą o śmierci. Przecież od początku wiedziałaś, że to bez sensu.

– Chwilami miałam niezły ubaw – wyznała Liz.

Geoff bez słowa ostrzeżenia wymierzył jej siarczasty policzek. Uderzenie było na tyle silne, że aż przegięło ją w tył; powoli przyłożyła dłoń do ust. W żółtym świetle latarki smuga rozmazanej na policzku krwi wydawała się prawie czarna.

– Pieprzę, co powiesz dziennikarzom – wycedził bardzo cicho. – Zabawiłaś się naszym kosztem w Boga. Nie jesteś lepsza niż Martyn.

To mnie oczywiście zabolalo. Od początku nie było lekko. I choć wiedziałam, że to konieczne, wcale nie było mi przez to łatwiej. W gruncie rzeczy najbardziej martwiłam się o Mike'a: musiało mu być ciężko stać z boku i biernie obserwować przebieg wydarzeń. Cóż, czasami trzeba zacisnąć zęby i wytrzymać.

Tak więc wyznaczyłam konkretny dzień i godzinę. Zobaczymy. Pytanie, czy moja intryga zadziała, nabrało znacznie większej wagi, odkąd pozbyliśmy się zapasów jedzenia i wody. To posunięcie stanowiło oczywiście zasadniczy element planu, niemniej pomimo dojmującego głodu z wielkim trudem przełknęłam ostatnie kęsy tego posiłku. Resztki jedzenia znikwały w oczach, już nie oszczędzaliśmy każdego łyka wody. Urządziliśmy sobie prawdziwą ucztę, nieomal jakbyśmy składali Martynowi ofiarę. Tak musiało się stać, trzeba było pozbyć się wszystkiego, co mieliśmy – w przeciwnym razie mój blef by nie poskutkował. Musieliśmy pokazać, że nie brakuje nam pewności siebie. To było dla mnie najtrudniejsze.

Gdzieś tam w górze podsłuchiwał nas Martyn. Wiedziałałam, że usłyszy nasze rozmowy, że usłyszy wyzwanie, któreśmy mu rzucili. Oczywiście gdyby zdawał sobie sprawę, że wiemy o podsłuchu, w jednej sekundzie przejrzałby blef i zostawił nas na pastwę losu. Ale jeśli sądzi, że istotnie wierzymy w naszą całkowitą izolację od zewnętrznego świata, to wie też doskonale, że nie opowiadałabym tego wszystkiego, gdyby to nie była prawda. W tym tkwiło sedno sprawy, klucz do naszego ocalenia. Martyn musi mi uwierzyć. Cała reszta – choćby moje maniackie wręcz podkreślanie własnych zasług – powinna go poruszyć, sprowokować reakcję tam, gdzie chłodna kalkulacja mogła zawieść. Byłam wszakże niemal pewna, że Martynowi wystarczą czysto racjonalne przesłanki. Jest nazbyt sprytny, by ryzykować kompromitację, skoro może z łatwością wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Tak czy inaczej, musiałam mieć pewność.

Siedziałam na krześle w jego pokoju, kiedy przyszedł. Miał w ręku plastikową torbę; wydawało mi się, że jest pusta. Przywitałam się. Powiedział, że dobrze mnie widzieć, ale

odniosłam wrażenie, że głowę ma zaprzątniętą czym innym... nic szczególnego, po prostu był zamysłony. Spytał, czy mogłabym chwilę poczekać i czy akurat teraz chciałam się z nim widzieć. Odrzekłam, że tak, że chciałabym. Wyjaśnił, że zaraz wróci, że ma coś pilnego do załatwienia, i wyszedł...

Przyszłam do niego tamtego dnia, bo chciałam mu powiedzieć, że między nami wszystko skończone, że już nie chcę się z nim spotykać. Wiedziałam, że nie będzie mi łatwo, ale wszystko dokładnie przemyślałam i wydawało mi się, że wiem, jak mu to powiedzieć i tak dalej. Czekałam tylko na odpowiedni moment, by zrobić to jak należy.

Nie było go ponad dwie godziny. Większość tego czasu po prostu przesiadywałam w jego pokoju... zupełnie jak pies, któremu kazano warować. To śmieszne, jak bardzo przywykłam do wykonywania jego poleceń. W końcu wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju. Jego sypialnia, choć – podobnie jak cały dom – słusznych rozmiarów, była prawie pusta. Pod jedną ze ścian stało łóżko. Większość nastolatków nie ścieli swoich łóżek, ale on był pod tym względem wyjątkiem. Oprócz tego miał tam szafę, biurko, niewielką komodę; podłogę przystaniał dywan. Nie było tam właściwie nic więcej. Na ścianach nie wisiał ani jeden plakat czy obrazek. To pomieszczenie zupełnie nie przypominało jego pokoju w internacie. Tamten wypełniały rośliny i przeróżne bibeloty; na podłodze leżały sterty płyt i poduszki do siedzenia... taki był publiczny wizerunek Martyna, który wszyscy znali. Nie sądzę, żeby dobrze się z tym czuł. Musiał włożyć sporo wysiłku w urządzenie tamtego miejsca, bo jego charakter bardzo odbiegał od usposobienia Martyna. W tej sypialni nie miał nawet magnetofonu.

W pewnym momencie pomyślałam sobie, że to głupie... że nie mogę spędzić całego popołudnia na czekaniu. Więc wymknęłam się z sypialni i wyszłam na korytarz – zawołałam go, ale nikt się nie odezwał. W końcu zaczęłam sprawdzać sąsiednie pomieszczenia: zajrzałam do łazienki, gościnnej sypialni. „Może gdzieś wyszedł?” pomyślałam. Wydało mi się to jednak niemożliwe, mimo że miał przy sobie tę plastikową torbę. I wtedy go znalazłam. Zasył się w graciarni na końcu korytarza. Kiedy otworzyłam drzwi, siedział na podłodze. Podniósł na mnie zdziwiony wzrok. – Wszędzie cię szukałam – powiedziałam do niego. – Co tu robisz?

– Nic – odparł. – Po prostu słucham pewnego nagrania.

Na podłodze leżały słuchawki i kilka taśm magnetofonowych... Oświadczyłam, że chcę z nim porozmawiać i że przede wszystkim po to tu przyszłam. Coś się w tamtej chwili zepsuło; odniosłam wrażenie, że już wie, co ode mnie usłyszy. Całkiem jakby wydarzyło się jakieś nieszczęście... sama nie wiem. Ni stąd, ni zowąd poczułam strach – strach przed nim. Spojrzył na mnie i powiedział: – W takim razie porozmawiajmy... – ot tak sobie, jakby nie zostawił

mnie samej na dwie godziny. Wróciliśmy do jego sypialni, ja usiadłam, a on chodził tam i z powrotem po pokoju, zacierając cały czas ręce. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że dziwnie wygląda, kiedy to robi... Zaczęłam mówić o tym, jak bardzo go lubię, ale jednocześnie czuję, że nasz związek nie ma przyszłości... takie tam dyrdymały, ale każdy wie, o co chodzi, kiedy się używa takich argumentów. Po jakimś czasie zorientowałam się, że mnie nie słucha. Myślami był daleko.

Podniosłam się i stanęłam naprzeciw niego. – Hej, próbuję z tobą rozmawiać – powiedziałam. Spojrzał na mnie tak, jakby mnie zobaczył pierwszy raz w życiu, ale ja nie dawałam za wygraną... – Wydaje mi się, że nie ma sensu tego dalej ciągnąć – wyznałam, próbując mu tłumaczyć, dlaczego tak uważam. Wtedy złapał mnie za ramiona i spytał: – Nie kochasz mnie? – Zamurowało mnie. Zapewniłam, że go lubię, ale uważam, że będzie lepiej, jeśli się rozstaniemy na jakiś czas. Jakoś dziwnie na mnie spojrzał... Pamiętam, że spytał, czy to znaczy, że chcę go zostawić. Powiedziałam, że według mnie tak będzie najlepiej... przynajmniej na jakiś czas...

Nagle złapał mnie i mocno przytulił – tak mocno, że aż zabolalo. Już miałam zaprotestować, powiedzieć, żeby mnie puścił, ale wtedy spojrzałam mu w oczy i wydało mi się, że jeśli pisnę choć słowo, to mnie zabije... Jego reakcja była taka gwałtowna i niespodziewana, a uścisk tak mocny, że nie wiedziałam, co robić. Chyba krzyknęłam, bo kazał mi być cicho. A potem powiedział... zaczął mówić o... wygadywał takie straszne rzeczy, usta mu się nie zamykały. Miałam wrażenie, że przemówiła do mnie zjawą z najgorszego koszmaru. Prawie nic z tego nie pamiętam, bo naprawdę wierzyłam, że on chce mnie zabić. Nie wiem skąd, ale po prostu wiedziałam...

I potem on...

Zatrzymałam taśmę. W pewnym sensie byłam odpowiedzialna za to, co się przydarzyło tej dziewczynie. To moje działania w Bunkrze tak na niego wpłynęły. Jego papierowa osobowość zadrzała w posadach, osłabła na tyle, że przez warstwę lukru zaczęło przebijać prawdziwe oblicze. Lisa była jedyną osobą, która je zobaczyła. Na samą myśl o tym wzdrygnęłam się, po czym wzięłam do ręki długopis i włączyłam magnetofon.

...pchnął mnie, a ja upadłam, ale nie na łóżko, tylko na podłogę; poczułam straszny ból. I wtedy on... wtedy powiedział, że mnie kocha, ale mówiąc to, śmiał się i przyciskał mnie do ziemi; nie byłam w stanie się bronić. Powiedziałam... właściwie wrzasnęłam na niego,

żeby przestał, próbowałam krzyknąć, więc po prostu... po prostu włożył mi pięść do ust, żebym nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku... po prostu włożył mi pięść, jakby to wystarczyło, żeby mnie uciszyć... a potem... a potem drugą ręką ściągnął mi majtki. Ugryzłam go wtedy, bo w końcu dotarło do mnie, co się naprawdę dzieje. Jak głupia gryzłam bez opamiętania jego palce, wszędzie było pełno krwi, w moich ustach też. W końcu musiałam ją połknąć, ale jemu nawet powieka nie drgnęła – całkiem jakby nic nie czuł, kompletnie nic... Potem... przygwoździł mnie do podłogi i... i po prostu wszedł we mnie. Próbowałam go powstrzymać, ale nic nie mogłam zrobić... czułam się, jakby mnie rozrywało od środka, czułam, jak jego krew spływa mi po twarzy, zalewa oczy, ale nadal go widziałam...

Nagle znieruchomiał i zsunął się ze mnie, ale nie cofnął dłoni – chciał mieć pewność, że będę cicho. Kiedy tak dusiłam się i krztusiłam, ostrzegł mnie, że... że jeśli pisnę komukolwiek choć słówko, to znajdzie mnie, gdziekolwiek będę, i... i uwierzyłam mu na słowo. Wiedział, co mówi... widziałam w jego oczach, że mówi zupełnie serio. Nigdy wcześniej nie byłam taka przerażona...

To wszystko nie miało sensu. W tamtej chwili czułam tylko ból i... chyba byłam w szoku, ale... wiedziałam, że to wszystko nie ma sensu. On właściwie... właściwie robił to tylko przez chwilę. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle... żeby miał orgazm albo czuł jakąś przyjemność. Więc o co mu chodziło? Chryste, dlaczego mi to zrobił? Można by pomyśleć, że karze mnie za coś, czego nie zrobiłam, a przynajmniej nie zrobiłam świadomie.

Po raz kolejny słysząc jej głos, nie mogę opanować łez.

Gdy nadeszła noc, mieszkańcy Bunkra po raz pierwszy od kilku dni niemal z przyjemnością układali się do snu.

– Jutro o jedenastej – zaszczebiotała radośnie Frankie. – Jeszcze tylko czternaście godzin.

– Spróbuj zasnąć, a jutro nadejdzie szybciej, niż ci się zdaje – radziła jej Alex.

Mike zauważył, że dziewczyna nadal źle wygląda, lecz w jej głosie nie słychać już desperacji. Właśnie to – o ironio – ich różniło: chociaż do tej pory jedynie Liz i on mieli powody do nadziei, teraz czuli się najmniej pewnie, bo wiedzieli, że ich ocalenie zasadza się na blefie, który może nie zadziałać.

Jedno po drugim zapadali w sen. Mike leżał ze wzrokiem wbitym w sufit, czekając niecierpliwie, aż w piwnicy zalegnie cisza. Dla pewności odczekał jeszcze chwilę, a potem

wyczołgawszy się ze śpiwora, poszedł do wnęki naprzeciw toalety. Mijając ją, wstrzymał oddech. Po chwili dołączyła do niego Liz.

– Byłaś fantastyczna – wyszeptał. – Uda się, zobaczysz. Musi się udać.

– Dzięki. Niedługo się przekonamy, co? Wszystko zależy teraz od Martyna. Myślę, że się nabierze. Jest zbyt pewny siebie, by przypuszczać, że wpadliśmy na to, jak się stąd wydostać. Nie pozostanie mu nic innego, jak uwierzyć, że mówię prawdę.

– Wszyscy cię nienawidzą – zauważył Mike.

– Jak powiedziała Frankie, zostało jeszcze raptem kilkanaście godzin. Jakoś to wytrzymam. – Liz zawahała się: – Mike?...

– Tak?

– Naprawdę wierzysz, że się nam uda?

– Tak, naprawdę. Byłaś genialna.

– To Geoff był genialny – odparła.

– Uderzył cię. Nie wiedziałem, jak mam zareagować.

– Dobrze, że nic nie zrobiłeś – zapewniła go. – Powinieneś mnie nienawidzić tak samo jak reszta.

– A ty? Sądzisz, że Martyn to kupi?

– Tak mi się zdaje. Wasza krytyka wyjdzie tylko na dobre, bo powinnam w jego oczach uchodzić za kogoś, kto w pewnym sensie stosuje bardzo zbliżone metody. Poza tym uraziłam jego dumę, a tego nie puści mi płazem. – Liz umilkła na chwilę. – Mike? Naprawdę myślisz, że się uda?

– Taką mam nadzieję. Tak. Uda się, i to dzięki tobie.

– Dzięki nam – poprawiła go. – Już niedługo się przekonamy. Jutro będę mogła robić wszystko jak zwykle: pójść na spacer, oddychać świeżym powietrzem, cieszyć oczy światłem i kolorami. Jeśli tylko przyjdzie mi ochota, będę mogła zbudować w ogrodzie choćby dziesięć szop.

Mike zaśmiał się cicho.

– A ja będę jadł i jadł, i jadł... – rozmarzył się, czując w brzuchu zabawne łaskotanie. – Zamówię sobie całą górę zarcia.

– I powtórzymy materiał do egzaminów – zachichotała Liz.

– Żarty żartami, ale wreszcie będziemy mogli powiedzieć wszystkim całą prawdę o Martynie – stwierdził Mike.

– Aha – odezwała się Liz po chwili. – Więc o to ci chodzi. Pożyjemy, zobaczymy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo możesz być pewny, że znajdzie niezłą wymówkę. Zjawi się jutro z samego rana, dobrze przed jedenastą, wypuści nas i wszystko się okaże wielkim nieporozumieniem. Zapamiętaj moje słowa: ujdzie mu to na sucho.

– O nie! – oburzył się Mike.

– To się okaże. Coś mi się zdaje, że ceną za wolność będzie zapewnienie mu nietykalności. Chyba nie sposób tego umknąć.

– Ale to absurd – zaprotestował. – Nie można puścić mu tego płazem.

– Jest zbyt przebiegły, żeby dać się złapać – skwitowała Liz. – Podobnie jak my wymyśli coś, żeby się wywinąć.

– Musi być przecież jakiś sposób... – podjął Mike.

– Ciii...

Usłyszał szuranie nóg Liz i po chwili dziewczyna siedziała obok niego.

– Obejmij mnie.

Bardzo delikatnie otoczył ją ramionami.

– Naprawdę cię lubię – wyznała cicho. – Cieszę się, że tu jesteś. Nie wiem... całkiem możliwe, że bez ciebie nie wpadłabym na ten pomysł.

– Nie mów głupstw – mruknął. – Jesteś genialna.

– Myślę, że się uda – powtórzyła raz jeszcze. – Naprawdę w to wierzę. Jutro skończy się ten... koszmar. – Nagle zaśmiała się szaleńczo.

– O co chodzi?

– Chciałam... nieważne. Chciałam zaproponować, żebyś wpadł któregoś dnia na herbatę, i w tym samym momencie zorientowałam się, jak to zabrzmiało.

Mike przyłączył się do chichotów Liz, aż w końcu oboje trzęśli się ze śmiechu, próbując przy tym nie narobić zbyt wiele hałasu.

– To znaczy... – parsknęła Liz – poczekaj... To znaczy nie to chciałam powiedzieć. Po prostu myślę, że nasz plan się powiedzie. Jestem o tym przekonana. Ale istnieje niebezpieczeństwo, że będzie inaczej. Martyn może nas przejrzeć. Więc chyba powinniśmy wykorzystać jak najlepiej to, co mamy, co jest tu i teraz. Tak na wszelki wypadek.

Mike odgarnął jej włosy z twarzy.

– Dobrze – szepnął, a potem dodał: – Kocham cię. Naprawdę cię kocham.

Liz westchnęła; przez długi czas trwali objęci, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie niezdarnymi gestami rozebrali się nawzajem i rozłożyli ubrania na kamiennej podłodze. Leżeli w przesyconych smrodem ciemnościach, dotykając się, całując i pieszcząc, drżący tulili się do siebie. Mike przykrył ją własnym ciałem i przywarli do siebie bez tchu. Ich

pieszczoty były niewprawne, a twarda posadzka niewygodna, ale gdzieś pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem odnaleźli wspólny rytm, który w końcu rozproszył na moment otulający ich mrok.

ROZDZIAŁ 12

Zasnęli nie wiedząc kiedy i po raz pierwszy od dłuższego czasu Mike spał spokojnie. Gdy nadszedł poranek, wrócili ukradkiem na swoje miejsca. Chociaż nie zamienili ani słowa, Mike wiedział, jakie myśli kłębią się w głowie Liz: nie mają już jedzenia ani wody – jeśli Martyn nie przyjdzie, okaże się, że przyspieszyli własny koniec. Minuty oczekiwania zaczęły się nieznośnie dłużyć.

Reszta grupy zupełnie nieświadoma, co tak naprawdę może ich czekać, krzątała się z hałaśliwym ożywieniem. Uruchomiwszy ponownie kuchenkę gazową, Frankie usiłowała rozczesać włosy, zerkając w kieszonkowe lustro.

– Koszmarnie wyglądam – orzekła. – Naprawdę myślicie, że nasze zdjęcia trafią do gazet?

– Wcale bym się nie zdziwił – odparł Geoff.

– Zdajecie sobie sprawę, jaki to będzie skandal? – Mike próbował włączyć się do rozmowy. – Wszyscy mieli Martyna za ósmy cud świata. Wyobraźcie sobie, co się teraz będzie działo.

– Nie wszyscy – przypomniała mu Liz.

– Na twoim miejscu trzymałbym głowę na kłódkę – mruknął Geoff. – Nie zapomnieliśmy, co zrobiłaś.

– Nie rozumiem cię, Liz. – Alex pokręciła głową. – Myślałam, że jesteśmy... zawsze byłaś dla mnie miła.

– Posłuchaj, nie chciałam niczyjej śmierci. To wszystko – rzuciła Liz. – Ale nie udawajmy, że jesteśmy przyjaciółmi. Jeszcze trochę, a zaczniecie mi tu zgrywać oddanych kumpli. Jeśli komuś zachciewa się sławy, niech poszuka gdzie indziej.

– Nie nazwałbym się twoim przyjacielem, choćby mi obiecywano złote góry.

– Która godzina? – spytała Frankie.

– No, to rozumiem, Frankie jest na powrót sobą – zauważył Mike.

– Wyłazimy stąd – westchnęła dziewczyna. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

– Dochodzi wpół do dziewiątej – poinformował ją w końcu Geoff. – Musimy jeszcze trochę poczekać.

– Co będziecie dzisiaj robić? – zagadnęła ich Alex. – Co najpierw zrobicie po wyjściu?

– Ja się wykapię – oznajmił Mike. – Śmierdzą podobnie jak... wybaczenie, że powiem to głośno... jak cała reszta towarzystwa.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Koszmarnie się czuję – poskarżył się Geoff. – Chcę wziąć prysznic, a potem się poruszać. Siedzę na tyłku od... ile to już dni minęło? W każdym razie zdecydowanie za długo. Pójdę chyba pobiegać.

– Baw się dobrze – rzuciła Frankie – ale nie oczekuj, że do ciebie dołączę.

Mike przysłuchiwał się tej rozmowie z niedowierzaniem. Przekomarzali się jak gdyby nigdy nic. Mogłoby się wydawać, że dni, które minęły, nie odcisnęły na nich żadnego piętna. Potrząsnął głową, momentalnie mrużąc oczy; pod czaszką zaczynał mu pulsować tępy ból. To wszystko zakrawało na farsę: zaledwie kilka godzin temu ci sami ludzie oswajali się z myślą o śmierci, prawie na nią czekali. A teraz tamte emocje znikły bez śladu.

Nagle uświadomił sobie, dlaczego naszły go podobne myśli. Bez względu na to, co mówili o Liz, darzą ją zaufaniem. Mogą ją nienawidzić, ale zupełnie bezwiednie wierzą każdemu jej słowu. Wszyscy troje nie mieli żadnych wątpliwości, że wkrótce będą wolni, podczas gdy Mike'owi nasuwało się ich coraz więcej.

Czy to już naprawdę koniec tej całej historii? Pomimo tego, co powiedziała minionej nocy Liz, Mike był nadal przekonany, że Martyn zapłaci za swoje uczynki. Musi się znaleźć na to sposób. No i było jeszcze coś: dopiero co przespał się z dziewczyną, od której stał się w pewien sposób zależny. Powiedział jej, że ją kocha, a teraz, kiedy rysowała się przed nim możliwość wycofania się, zdał sobie sprawę, że nie ma na to ochoty. Z głową pełną tych myśli zerknął na Liz, która posłała mu ukradkowy uśmiech.

– Kim jest ten twój tajemniczy przyjaciel? – Frankie zwróciła się do Liz. – No wiesz, ten, który przyjdzie nas wypuścić.

– To dziewczyna. Nie sądzę, żebyście ją znali – ucięła dyskusję Liz.

Odłożywszy długopis, wsparłam głowę na rękach. Mój wzrok prześliznął się po wierzchołkach drzew, wędrując ku dachom Naszej Wspaniałej Szkoły; słońce odbijało się w wiatrowskazach i piorunochronach, które połyskiwały na tle szarych dachówek. Dostrzegłam też jakąś postać w czerwonym dresie biegnącą pomiędzy drzewami. Tuż pod moim oknem,

ponad bujną roślinnością naszego ogródka, skrzyło się kilka tęcz zawieszonych pośród kropelek wypływanych przez rozpryskiwacz. Politura na blacie mojego biurka błyszczała miodowo.

Naszło mnie przedziwne uczucie. Włożywszy tenisówki, zeszłam na dół i pustym korytarzem ruszyłam ku ogromnym frontowym drzwiom w kolorze gorzkiej czekolady. Na podjeździe znowu zaczęły się pojawiać chwasty. Było widać, że ostatnimi czasy nie dbałam o dom z taką samą starannością jak zwykle. Poszłam w stronę miasteczka, trzymając się głównej drogi. Po drodze, w miejscach gdzie rzeka przecina szosę, są dwa mosty; przystanęłam na obu, żeby popatrzeć w spieniony nurt. Kiedy byłam mała, puszczaliśmy na rzece łódki zrobione z niepotrzebnych kawałków drewna podkradanych z szopy mojego taty. To było bardzo dawno temu; po tamtych czasach nie ostał się żaden ślad. Było, minęło. Najczęściej wodowało się taką łódkę przy pierwszym moście i biegło co sił w nogach do drugiego. Czasami łódka pokonywała bezpiecznie dzielący je dystans i wirując dumnie pośród dopingujących ją okrzyków obierała chaotyczny kurs ku... właśnie, ku czemu? Zawsze wierzyłam, że ku morzu. Całkiem możliwe, że niektóre z tych łódek istotnie doń dotarły.

Miasteczko przysypiało w skwarze popołudnia. Przecięłam rynek i mijając Horsemana skręciłam w boczną uliczkę prowadzącą ku niewielkiemu wzgórzu. Ten spacer nie miał właściwie żadnego konkretnego celu; po prostu szłam przed siebie. Byłam bliska zakończenia mojej opowieści, ale nie tylko to chodziło mi po głowie. Czułam, że jest za wcześnie, by postawić ostatnią kropkę.

O dziewiątej usłyszeli na zewnątrz jakiś hałas.

– Hej! – wrzasnęła Frankie. – Tutaj jesteśmy!

Podniosła się wrzawa; okrzyki radości i piski towarzyszyły odgłosom powolnego otwierania kłódki.

– Tylko ostrożnie! – krzyknęła Liz. – Po drugiej stronie nie ma schodów.

Mike był pod wrażeniem; nawet w takiej chwili Liz konsekwentnie grała swoją rolę.

Drzwi zadrżały, przez chwilę myśleli, że się zacięły. W końcu poddając się silnemu pchnięciu stanęły otworem, a do środka wpadło nieznośnie intensywne światło. Na jego tle wyraźnie było widać jakąś sylwetkę.

Oślepiiony nagłą jasnością Mike kompletnie nic nie widział, za to bardzo wyraźnie usłyszał, jak Liz wycedziła:

– O co tu, kurwa, chodzi?

– Cześć! – darła się na całe gardło Frankie. – Jesteś przed czasem. Przyniosłaś może

drabinę albo coś w tym rodzaju?

– Nie mogę uwierzyć, że wreszcie stąd wychodzimy! – zawołała Alex. – Bogu dzięki, że przyszedłeś.

Pośród ogólnej wrzawy dał się słyszeć stanowczy głos Liz.

– Kto to? – wykrzyknęła. – Kto tam jest?

Nie było słyhać odpowiedzi, a głosy jej rozentuzjasmowanych kolegów przycichały w miarę, jak zaczęli sobie uświadamiać, o co zapytała. Oczy całej czwórki zwróciły się ku Liz, której twarz skąpana w spływającym z góry świetle jaśniała jak płomień.

– Kim jesteś?

Tajemnicza postać przykucnęła przy majaczącej wysoko nad ich głowami framudze drzwi.

– Liz?... To ty?... O Boże – wyjąkała. – To jest... o Boże drogi, co ja mam robić?

– Lisa? – Wyraz zdumienia na twarzy Liz wydawał się prawie komiczny. – Musisz nas stąd wydostać. Pospiesz się, musimy zdażyć, zanim zjawi się tu Martyn.

– Martyn wyjechał – rzuciła Lisa. – Jak dawno... zresztą nieważne, poczekajcie. Jak mam was stamtąd wyciągnąć?

– Potrzebna drabina – krzyknęła Liz. – Tylko się pospiesz!

– W porządku. Wrócę jak szybko się da – odwróciła się i znikła w jasnej plamie światła.

– Co jest grane? – dopytywał się rozemocjonowany Mike. – To nie był Martyn.

– Pewnie, że nie – potwierdziła Frankie najwyraźniej zbity z tropu. – Mówiłaś, że nie znamy tego twojego przyjaciela, a przecież Lisę znają wszyscy.

– Zamknij się – warknął Mike. – Żadne z was nie ma bladego pojęcia, o co chodzi. Liz?

– Nic z tego nie rozumiem – odparła. – Co ona wygaduje? Martyn wyjechał? Co to ma znaczyć?

– O czym wy mówicie? – zainteresował się Geoff. – Myślałem, że panujesz nad sytuacją.

– Nie będę ci teraz tłumaczyć, to zbyt skomplikowane – zbyła go Liz. – Ale jej tu nie powinno być. Co się u licha dzieje?

Po jakimś czasie usłyszeli łomot i dzwonienie uderzanego raz po raz metalu. Kilka chwil później pojawiła się Lisa z mozołem dźwigająca drewnianą drabinę.

– Spuściłam ją ze schodów – pochwaliła się. – Chryste, jak długo tu siedzicie? Wyglądacie jak widma.

– Proszę, pospiesz się – ponagliła ją Alex.

– Okej, spróbujcie złapać koniec drabiny, zanim się przewróci.

Lisa opuściła drabinę po ścianie Bunkra ku niecierpliwie wyciągającym się po nią rękom.

– Proszę bardzo! – zawołała. – Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym! – odkrzyknęła Liz. – No dalej, wychodźcie.

Mike wyraźnie się ociągał.

– Liz? Tego nie było w twoim planie?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Nic o tym nie wiedziałam. Ale wychodzimy stąd. Ciesz się z tego, co jest – powiedziała, a potem z szerokim uśmiechem objęła go i przytuliła. – Chodźmy.

Opuściwszy w pośpiechu Bunkier, wyszli na słońce.

Pięć dni później, o zmierzchu, wybrałam się na spacer do lasu. Przez te kilka dni udało się skojarzyć sporo faktów, wiele się wyjaśniło. Martyn wyjechał nie wiadomo dokąd. Wprawdzie mój bluff poskutkował – wydostaliśmy się z Bunkra, ale sposób, w jaki to nastąpiło, czyli interwencja Lisy, okazał się całkowitym zaskoczeniem. Jakby tego było mało, jakieś dwanaście godzin przed naszym uwolnieniem Martyn oddalił się w bliżej nieznanym kierunku.

Przynajmniej tak sądziłam.

Kiedy Lisa została sama w jego domu, udało jej się poskładać w całość to, co od niego usłyszała, zanim wyjechał. Wyłaniała się z tego przerażająca i niewiarygodna wręcz historia. Przesłuchując kasety, które zostawił (były to nagrania z pierwszych dni Bunkra), zorientowała się dość szybko, że chodzi o piwnicę pod pracowniami angielskiego. Taśmy, dzięki którym można by czegokolwiek dowieść, znikły bez śladu.

W owym czasie – przynajmniej dla postronnego obserwatora – wyglądałam prawie normalnie. Ślad po uderzeniu Geoffa był ledwie zauważalny, a i czułam się o niebo lepiej. Zdumiewające, jak nieznacznie odmienił nas – a już na pewno nasze ciała – czas spędzony w Bunkrze. Byliśmy rzecz jasna brudni i co zrozumiacie, szczuplejsi. Jednakże wystarczył prysznic, aby zniwelować tę odmienność prawie do zera. Sekret tkwi chyba w tym, że byliśmy młodzi i szybko potrafiliśmy regenerować siły. O wiele więcej czasu trzeba, aby zagoiły się rany, których nie widać gołym okiem.

Nie wiem, gdzie przebywa teraz Martyn. Ale tamtego wieczoru w lesie obiecałam sobie jedno: będę się miała przed nim na baczności, zachowam czujność. Tym razem nie chodzi mi o siebie, bo Martyn już ze mną skończył. Jednakże gdy pewnego dnia – być może

w odległej przyszłości – wróci, przynajmniej ktoś będzie świadom niebezpieczeństwa.

– To wszystko – ogłaszam, kładąc na biurku gruby plik kartek. – To już naprawdę wszystko.

– Skończyłaś?

– Tak.

– I niczego nie pominęłaś?

Uśmiecham się.

– Niezupełnie, ale to, co wybrałam, na pewno wystarczy.

– To dobrze.

– A teraz chcę cię o coś spytać.

– Taak? Ciekawe o co?

– Dawno temu... właściwie nie wiem, czy jeszcze o tym pamiętasz...

– Spróbuj się przekonać.

– Okej. A więc dawno temu spytałam cię, o czym marzysz, a ty mi obiecałeś, że odpowiesz, kiedy skończę pisać.

– Naprawdę? Ja ci obiecałem?

– Tak. Hej, drażnisz się ze mną, przecież widzę, że pamiętasz.

– Aha! O to ci chodzi. Hm, może...

– Wiec?

– Wiec co?

Uśmiecham się.

– Przestań mnie dręczyć. Co to było za marzenie?

– Och – wygląda przez okno – widzisz?

– No.

– Moglibyśmy wyskoczyć do miasteczka na drinka, zanim się ściemni.

– Super. Powiesz mi w takim razie po drodze?

– No dobrze.

Razem wychodzimy z pokoju na poddaszu i zamykamy za sobą drzwi.

EPILOG

Wstępne uwagi do „Bunkra”

Oto jest „Bunkier” – wstrząsająca relacja, którą Elizabeth napisała na przestrzeni czterech miesięcy. Ponieważ powstała ona po długim okresie prawie całkowitego milczenia, wywołała niemałe zaskoczenie, nie tylko ze względu na to, iż ujawniła procesy myślowe błyskotliwego i obdarzonego ogromną wyobraźnią umysłu. Na podstawie ocen uzyskiwanych przez Elizabeth w szkole w okresie bezpośrednio poprzedzającym wydarzenia w Bunkrze można z dużym prawdopodobieństwem oszacować jej zdolności. Jednakże „Bunkier” stanowi osiągnięcie, które przechodzi wszelkie oczekiwania. Wielu specjalistów badających w swoim czasie okoliczności owych wypadków podziela opinię, iż wywołane szokiem traumatycznym wycofanie się Elizabeth w uparte milczenie może mieć charakter permanentny – niewykluczone, że już nigdy nie odzyska dostępu do tych obszarów swej świadomości, które postanowiła odizolować. „Bunkier” stanowi nie tylko udokumentowanie największego postępu w terapii Elizabeth w ciągu ostatnich sześciu lat, ale również jeden z najciekawszych tekstów w najświeższej historii psychoanalizy.

Sam tekst relacjonuje rzekomo wydarzenia w Bunkrze. Sprawozdanie Elizabeth w dużym stopniu pokrywa się z rzeczywistością, gdyż wspólnie z czworgiem znajomych istotnie brała udział w opisywanej eskapadzie. Co więcej, zgodność tego tekstu z autentycznymi zdarzeniami sięga jeszcze dalej: jego pierwsza część prawie całkowicie odpowiada ciągowi wydarzeń opisanych przez doktora E. Lawrence’a bezpośrednio po wiadomym zajściu [zob. Lawrence, Eliot, „Struktura oraz konsekwencje upośledzenia społecznego: najnowsze studia przypadków”]. Dalsze jego części wykazują, iż Elizabeth ma coraz większe trudności z rozróżnieniem obiektywnej rzeczywistości i subiektywnej fantazji, mimo że – jeśli nie liczyć pojedynczych niekonsekwencji – tekst jest w przeważającej części wewnętrznie spójny [subiektywna iluzja staje się raczej integralną częścią opowiadania; istotne przeoczenia i/lub przypuszczalnie celowe przeinaczenia zostaną omówione w dalszej

części artykułu]. Zgodnie z tym, co jesteśmy w stanie racjonalnie ocenić, sceny rozgrywane się w Bunkrze są w dużej mierze zgodne z rzeczywistością i aż do rozdziału ósmego odpowiadają faktom przedstawionym przez doktora Lawrence'a. [Warto odnotować, że opisując wydarzenia w Bunkrze, Elizabeth wykorzystuje rolę narratora wszechwiedzącego – rozwiązanie dość powszechne w literaturze współczesnej, w pozostałych zaś częściach opowieści posługuje się narracją odautorską. Wydaje się oczywiste, iż Elizabeth stosuje ten zabieg w celu stworzenia sztucznego dystansu pomiędzy sobą a wspomnieniami, które przywołuje w niej zwłaszcza opisywanie tamtych dramatycznych zdarzeń. Technika ta ma wszakże pewne ograniczenia: aż do rozdziału ósmego oraz do pewnego stopnia w dalszej części tekstu chronologia opisanych przez Elizabeth wydarzeń jest niemal całkowicie zgodna z wersją doktora Lawrence'a. Tworząc tę sztuczną barierę Elizabeth pozwala sobie na opisywanie zdarzeń, które miały na nią bezpośredni wpływ, unikając przy tym konieczności aktywnego uczestnictwa w ich rekonstrukcji podczas spisywania relacji.]

Niemniej począwszy od rozdziału ósmego coraz wyraźniej widać, iż Elizabeth odwołuje się raz po raz do stworzonego przez siebie „alternatywnego zakończenia”, zgodnie z którym tak zręcznie manipuluje sytuacją w Bunkrze, że udaje się jej ocalić życie wszystkich uczestników eksperymentu. Należy przy tym zaznaczyć, iż implikacje owego alternatywnego zakończenia były najwyraźniej głęboko zakorzenione w psychice Elizabeth już w momencie przystąpienia do pracy nad tekstem, gdyż od samego początku opowiada o swoim długotrwałym, znajdującym kontynuację poza Bunkrem związku z „Mikiem”. Z wyjątkiem pojedynczych fragmentów, gdzie Elizabeth zdradza, iż od wydarzeń w Bunkrze do powstania ich zapisu upłynęło znacznie więcej czasu, niż czytelnik mógłby przypuszczać, udaje się jej stworzyć niezwykle przekonującą iluzję. [Oficjalnie przyjęto, że Michael Rollins zmarł szesnastego dnia.]

Odpowiednio do otrzymanego wykształcenia Elizabeth miejscami metaforyzuje swój tekst i wzbogaca go o warstwę symboliczną. W przeważającej części zabiegi te stosowane są z wyjątkową dojrzałością. Najmniej zręcznym z nich i dość oczywistym jest „lato jak ze snu”, metafora, w ramach której rozgrywają się wydarzenia na zewnątrz Bunkra. Ponadto w końcowym fragmencie tekstu pojawia się istotna nieścisłość, mianowicie do piwnicy wpada przez otwarte drzwi oślepiające światło. [W jednym z pierwszych rozdziałów Elizabeth pisze, że drzwi Bunkra znajdowały się w końcu krótkiego korytarza, poza bezpośrednim zasięgiem promieni słonecznych.] Motyw „lata jak ze snu” pełni najprawdopodobniej rolę stabilizatora, elementu wyciszającego i równoważącego niezwykle częste momenty emocjonalnego wzburzenia, które musiało w Elizabeth wywoływać pisanie o tych wydarzeniach. Ta

pieczołowicie skonstruowana fantazja stanowi dla niej swoisty schron przed własną reakcją na wspomnienia z Bunkra.

Poza przedstawionymi wątkami należałoby jeszcze rozważyć nieco bardziej zawikłane aspekty omawianego tekstu. Alternatywna wersja wypadków autorstwa Elizabeth nie jest całkowicie idyllicznym obrazem. Coraz wyraźniej narzuca się wniosek, iż postać Lisy ma kluczowe znaczenie dla pełnego zrozumienia całości tekstu. Elizabeth kreśli ją dość skrótowo, a odniesienia do niej mają chaotyczny charakter. Już choćby to odróżnia Lisę od pozostałych postaci „Bunkra”. Specyficzny sposób prezentacji wypowiedzi Lisy (poprzez monologi zarejestrowane na taśmie magnetofonowej) ma tu szczególne znaczenie, gdyż dzięki niemu mogły one przybrać formę zbliżoną do strumienia świadomości. Kiedy porównuje się strukturę tych ustępów z resztą tekstu, szybko można zauważyć, że o ile w przeważającej części relacji Elizabeth konsekwentnie stosuje wybrane zabiegi stylistyczne i formalne, o tyle fragmenty, w których pojawia się „Lisa”, są znacznie słabiej zorganizowane. Zbieżność imion dwóch postaci występujących w tekście również nie jest bez znaczenia, chociaż mówiąc o sobie Elizabeth, używa wyłącznie imienia Liz. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że te dwie postaci są w istocie wynikiem rozszczepienia osobowości Elizabeth. [Nie znaleziono żadnych dowodów potwierdzających istnienie Lisy.] Z początku może dziwić, iż Elizabeth decyduje się na tego rodzaju zabieg wobec reprezentującej ją w tekście bohaterki, ale najwyraźniej ma po temu istotny powód. Jeśli bowiem przyjmujemy, że te dwie postaci składają się w istocie na jedną osobę, to okaże się, iż kilka błahych dotąd szczegółów nabiera zupełnie nowego znaczenia. Przede wszystkim staje się jasne, iż Elizabeth łączyła z „Martynem” bliska znajomość, niewykluczone, że bardzo zażyła, jeszcze przed wydarzeniami w Bunkrze. Zastosowany przez Elizabeth wybieg, dzięki któremu może opowiedzieć część własnej historii niejako z punktu widzenia obcej osoby, pozwala jej na zachowanie dystansu. Podobnie jak w przypadku wspomnianych wcześniej nieustannych zmian perspektywy narracyjnej może w ten sposób uwzględnić w swojej relacji nawet te wydarzenia, których nie jest gotowa skojarzyć świadomie ze swoją osobą. [Warto w tym miejscu zaznaczyć, iż podczas pracy nad relacją Elizabeth wielokrotnie dokonuje w rękopisie zmian i poprawek, osiągając w rezultacie wyższy stopień obiektywności; jednakże wypowiedzi Lisy pozostawia nieodmiennie bez jakichkolwiek zmian. Widać wyraźnie, że zarówno charakter pisma, jak i styl tych fragmentów staje się bardziej niedbały, jakby wiele ze świadomych zdolności krytycznych Elizabeth ulegało czasowemu zawieszeniu. Prawdopodobnie pisanie tych fragmentów było w dużym stopniu przeżyciem kathartycznym i Elizabeth celowo unika ich poprawiania, pragnąc się uchronić przed ponownym przeżywaniem wydarzeń, których

dotyczą.]

Zwraca również uwagę jeszcze jedna, bardziej niepokojąca implikacja związku pomiędzy postaciami Liz i Lisy. Niezwykle istotne wydaje się to, w jaki sposób Elizabeth pisze o sobie: wielokrotnie przedstawia się jako uosobienie odporności, niezależności i upor; jako osoba będąca w stanie radzić sobie w rozmaitych sytuacjach, a przy tym obdarzona zdolnościami przywódczymi. Nie ma właściwie podstaw, by podawać w wątpliwość prawdziwość tego obrazu jej osobowości, jako iż pozostaje on w zgodzie z opinią nauczycieli oraz życiem osobistym, jakie wiodła w domu, samodzielnie opiekując się sparaliżowaną matką. Niemniej niezależność, którą rzekomo przejawiała podczas pobytu w Bunkrze, wydaje się momentami wydumana. [Elizabeth idealizuje nie tylko swoje walory charakterologiczne, ale i fizyczne, przedstawiając siebie jako osobę o drobnej budowie ciała i „małych dłoniach”.] To, że alternatywne zakończenie „Bunkra” jest tak bardzo przekonujące, stanowi miarę inteligencji i zdecydowania autorki. Naturalnie to, co naprawdę zaszło w Bunkrze, znacznie od tej wersji odbiega. Poddając tekst analizie, nie sposób nie poruszyć pewnego niezwykle znaczącego aspektu. Przedstawiony przez Liz opis zbliżenia pomiędzy nią a Mikiem pozostaje w ścisłym związku z opowieścią Lisy o dokonanym na niej gwałcie. Jeśli jak zgodnie twierdzi większość badających sprawę specjalistów, te dwie postaci są rzeczywiście tak ściśle ze sobą powiązane, to nasuwa się wniosek, iż zbliżenie, do którego doszło w Bunkrze, mogło mieć nieco inny charakter, niż sugeruje w swej relacji Elizabeth, a ona niekoniecznie wzięła w nim udział z własnej woli. Wydaje się wysoce prawdopodobne, iż wydarzenie to było przyczyną takiego zamętu w psychice Elizabeth, że jego ogląd także uległ rozszczepieniu: z jednej strony mamy wizję wyidealizowanego, romantycznego doznania seksualnego, z drugiej zaś brutalny akt przemocy.

Znacznie łatwiej byłoby zrozumieć to, iż Elizabeth obwinia się częściowo o zajścia w Bunkrze, gdyby jak już zostało powiedziane, istotnie znała Martyna w okresie poprzedzającym te dramatyczne wydarzenia. Jeśli czuła, iż powinna była przewidzieć rozwój wypadków, zanim okazało się, że jest za późno, to naturalną konsekwencją tego przeświadczenia jest pogłębienie poczucia winy, jakkolwiek niewłaściwe może się to wydawać postronnemu obserwatorowi. Co zaskakujące, Elizabeth opisuje Martyna w sposób uniemożliwiający czytelnikowi jednoznaczne ustalenie jego bądź jej prawdziwej tożsamości. Mimo iż relacja jej autorstwa przytacza sporo argumentów, które wskazują, że nie jest on postacią fikcyjną, istnienie Martyna podano w wątpliwość. Elizabeth kilkakrotnie łączy osobę Martyna z udokumentowanymi wydarzeniami spoza Bunkra [na wzmiankę zasługuje w szczególności „incydent z Gibbonem” – tekst nawiązuje tu do zdarzeń rozgrywających się

mniej więcej sześć miesięcy po przejściu majora Gibsona na emeryturę]. Z relacji Elizabeth wynika jasno, że Martyn funkcjonował w szkolnej społeczności jako niezależna jednostka. Brak zeznań rówieśników, które by potwierdzały tę wersję, oraz celowe zmylenie czytelnika poprzez przedstawienie go jako prowodyra serii figli, które można bez trudu przypisać komukolwiek, podkreśla jedynie, iż Elizabeth celowo wyraża się o „Martynie” z dużą dozą powściągliwości. Według wszelkich wskazań należałoby sądzić, że ujawnienie personaliów Martina równałoby się rozgrzeszeniu Elizabeth jako jedynej, która uratowała się z Bunkra. Najwyraźniej ona nie podziela tego poglądu.

Bardziej szczegółowa i wyczerpująca analiza rozważanego tekstu zostanie sporządzona w najbliższym czasie.

Drogi Eliocie,

Żywię rzecz jasna nadzieję, że oto zaczyna się dla Elizabeth proces wychodzenia ze świata ciszy. Już to, iż spisała tę opowieść w następstwie samodzielnie podjętej decyzji, wydaje się – chyba przyznasz mi rację – niezwykle obiecujące, podobnie jak spory stopień zgodności tekstu z faktami... te fragmenty zaś, które przeinaczają zdarzenia rzeczywiste, stanowią bez wątpienia krok na drodze ku temu, by je ostatecznie zaakceptować i pogodzić się z nimi. Przed nami jeszcze długa droga, ale uważam, że zdołamy w końcu przywrócić Elizabeth do normalnego życia. Historii wydarzeń w Bunkrze nie można jeszcze uznać za zamkniętą. Ja przynajmniej tego uczucia nie doświadczyłam.

Dr Philippa Horwood